



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXII Nr 5(249) Żelów, maj 2017

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Ignacego S. Fiuta, Barbary Gajewskiej, Janusza Koniusza, Krystiana Medarda Manteuffela, Moniki Mielczarek, Niny Pawlaczyk, Mirosława Pisarkiewicza, Jerzego Stasiewicza

Andrzej Dębkowski – *Ostatni taki Europejczyk...*

Leszek Żuliński – *Intymność i istotność*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Wiwisekcja poety oraz Wiara poety*

Stefan Jurkowski – *Gorzki ciężar wiedzy*

Andrzej Bartyński – *Lilaróż*

Kazimierz Ivosse – *Dzienniczek perkusisty*

Joanna Friedrich – *Nowa fala. Sokowirówka myśli. Nałóg kobieta*

Anna Dominiak – *Nie wiedziałem, że odchodzisz*

Henryk P. Kosk – *Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka (2)*

Mały pisarczyk z Małozyc – ze **Stanisławem Stanikiem** rozmawia **Izabela Zubko (6)**

Magdalena Kapuścińska – *Kosiński i jego patak (malowany)*

Mirosław Osowski – *Święty Florian*

Jan Stępień – *Przerwane życie*

Kalina Izabela Ziola – *Z czeluści zapomnienia*

Jerzy Stasiewicz – *„Fragmentaria” Pawlickiego*

Informacje, Wydarzenia, Imprezy,

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Kronika, Witryna



Z cyklu: Pejzaże polskie

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł Janusz Koniusz

Z wielkim żalem dowiedzieliśmy się o śmierci (29 III) Janusza Koniusza, naszego kolegi po piórze, prezesa honorowego oddziału ZLP w Zielonej Górze, Honorowego Obywatela Zielonej Góry.

Był poetą, prozaikiem, felietonistą, autorem słuchowisk radiowych i audycji telewizyjnych, autorem opracowań baśni i legend lubuskich, wspomnień żołnierzy i osadników na Ziemi Lubuskiej oraz lubuskich almanachów i antologii poetyckich, dziennikarzem. Swoje dojrzałe życie związał z Zieloną Górą, do której przyjechał w latach 50. Niezwykle zasłużony dla miasta, dla środowiska twórczego na środkowym Nadodrzu, postać bez której życie literackie regionu wydaje się niemożliwe.

Urodził się 1 lutego 1934 roku w Sosnowcu-Niwce, debiutował wierszem na łamach „Życia Literackiego” w 1951 roku. Studiował filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach, studia polonistyczne ukończył na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1961 roku był współzałożycielem zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, w którym przez całe dziesięciolecie pełnił różne funkcje.



Janusz Koniusz

Jest autorem kilkunastu zbiorów wierszy, tomów opowiadań oraz publikacji eseistycznych, w tym szkicu o Tadeuszu Kuntze-Koniczu, urodzonym w Zielonej Górze, polskim malarzu XVIII-wiecznym. Janusz Koniusz był przez szereg lat redaktorem naczelnym pisma społeczno-kulturalnego „Nadodrze”, był współtwórcą i sekretarzem Lubuskiego Towarzystwa Kultury.

Za działalność kulturalną i społeczną odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał Lubuską Nagrodę Kultu-

ralną (1957, 1978), Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki (1960), Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry (1980, 2009) i dwukrotnie Lubuski Wawrzyn Literacki (1995, 2008), a także Nagrodę Zasłużonego dla Kultury Polskiej „Gloria Artis” (2011).

Janusz Koniusz do ostatnich chwil życia, jak i przez całe swe życie był aktywny, uczestniczył w życiu środowiska literackiego. 25 listopada 2016, jako przewodniczący kapituły Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza, przedstawił podczas uroczystości wręczenia tego lauru werdykt jury. Po raz ostatni, jako prezes honorowy, uczestniczył w posiedzeniu zielonogórskiego zarządu oddziału ZLP 18 grudnia 2016 roku w Wilkanowie. I nic wówczas nie zapowiadało tak szybkiego odejścia, mimo postępującej choroby. Jak zwykle, przedstawił kilka pomysłów wartych realizacji, mówił o przyszłości. Prawdopodobnie ostatnim opublikowanym tekstem, a może i ostatnim napisanym, była – co znamienne – recenzja wydrukowana już w 2017 roku w piśmie „Pro Libris” pt. *Wiersze Aleksandry Kurzawy*. Znamienne, gdyż Janusz Koniusz zainteresował się debiutanckim tomikiem wierszy autorki z pokolenia swoich wnuków. Jakby podał jej rękę i namaścił pisząc w końcowym akapicie: *Aleksandra Kurzawa przygotowała do druku drugi tomik, co jest dobrą wiadomością.*

Jego ostatnim marzeniem, o czym wspominał krótko przed śmiercią, było wydanie swego ostatniego już tomu utworów „starych i nowych”, jak to określił. Miejmy nadzieję, że książka ukaże się...

[EK]

Janusz Koniusz

Ojciec i koń

Idą przez węgla ugó
jakby z jednego świata na drugi
Koń nie odróżnia już bieli od czerni
z ręki zlizuje sól
i syty rzy w wytartej na grzbiecie skórze
Ojciec przywiera do jego siwej grzywy
i grzeje się w tym ciepłe bez ognia i dymu
Tak sprzęgli się z sobą
że nikt nie oddzielił łąka od głowy
stopy od kopyta
Raźniej im razem w tej wiekuiestej sztolni

Dowód

Nie zostałem wybrańcem bogów
więc idę
noga za nogą
do kopalni zgniłego ichtu
gdzie nawet diabeł nie mówi dobranoc
a anioł dzień dobry
Nie wpisano mnie do wieczystej księgi węgla
alfabetem płazów ssaków albo roślin
Nad moją bezdomną siwą juchą
tylko ostatnia sosna Sosnowca
zatrzeszczy
jak stempel przed zawałem
I to będzie koronny dowód
że żyłem

Konkursy

Ogólnopolski
Konkurs Poetycki
XX Piastowskiej Biesiady
Poetyckiej

Miejska Biblioteka Publiczna i Miejski Ośrodek Kultury w Piastowie oraz Konfraternia Poetycka „Biesiada” ogłaszają otwarte Ogólnopolski Konkurs Poetycki XXIV Piastowskiej Biesiady Poetyckiej.

Na konkurs należy nadesłać 5 wierszy o dowolnej tematyce, własnego autorstwa, nigdzie dotychczas nie publikowanych i nie nagradzanych w 4. egzemplarzach maszynopisu (wydruku), w terminie do 31 lipca 2017 roku na adres: Miejski Ośrodek Kultury, ul. Warszawska 24, 05-820 Piastów z dopiskiem na kopercie „Konkurs poetycki”.

Każdy uczestnik konkursu może nadesłać jeden zestaw wierszy. Łączna objętość zestawu wierszy nie może przekraczać dziesięciu stron znormalizowanego maszynopisu. Nadesłane teksty winny być opatrzone godłem literowym (pseudonimem). To samo godło winno być umieszczone na dołączonej kopercie, zawierającej wewnątrz: imię i nazwisko, adres i telefon kontaktowy autora (jeśli posiada).

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów oraz zastrzegają sobie prawo do wykorzystania ich w okolicznościowej pozycji wydawniczej bez honorariów autorskich.

Jury konkursu przyzna następujące nagrody: I – 1000 zł; II – 750 zł; III – 500 zł oraz cztery wyróżnienia po 300 zł. Zastrzega się prawo Jury do innego podziału nagród.

Nagroda lub wyróżnienie nieodebrane osobiście przez laureata w dniu ogłoszenia wyników zostanie przeznaczone na cele wyznaczone przez organizatorów konkursu.

Ostrzega się potencjalnych uczestników konkursu, że powyższa zasada będzie traktowana kategorycznie. Organizatorzy nie zwracają kosztów podróży i zakwaterowania.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas XXVI Piastowskiej Biesiady Poetyckiej, która odbędzie się 30 września 2017 roku (sobota) w godz. 10.00-18.00.

Organizatorzy zapraszają wszystkich uczestników konkursu do udziału w Biesiadzie, co przyczyni się do integracji środowiska poetyckiego, a udział laureatów uważają za niezbędny. W programie m.in.: spotkania autorskie jurorów, znakomita oprawa muzyczna oraz Turniej Jednego Wiersza z nagrodami i dyplomami.



Mały pisarczyk z Małoszyc ⁽⁶⁾

Ze Stanisławem Stanikiem rozmawia Izabela Zubko

Za kadencji Wawrzkiewicza zostałem wybrany przewodniczącym Komisji Rewizyjnej ZLP. Moim zastępcą był Janusz Termer, bardzo dobry krytyk, który pracował w przeszłości jako redaktor „Nowego Wyrazu” i „Nowych Książek”. Nie wiedziałem, że ta tak ważna funkcja, jak przewodnictwo Komisji Rewizyjnej, może podważyć i sprawozdanie prezesa ZLP z jego działalności. Raczej nic nie robiłem z tego, za co byłem odpowiedzialny, za tę kadencję, trwającej od wyborów do wyborów, i to mam sobie do zarzucenia. A kiedy przyszło mi pisać sprawozdanie z działalności komisji nie wiedziałem, za co się chwycić, i napisałem je na podstawie wywiadu udzielonego przez Wawrzkiewicza do „Myśli Polskiej”. Wreszcie przed nowymi wyborami po upływie mojej kadencji okazało się, że to samo, co ja napisałem, Marek Wawrzkiewiczy ma powiedzieć na sali Domu Literatury. Rad nie rad chciałem już ulec namowom Wawrzkiewicza, aby wygłosił z pamięci sprawozdanie. Na to nie byłem przygotowany. Poprosiłem w odruchu uratowania swojej twarzy, wiedząc, że nie potrafię improwizować na gorąco, swego zastępcę Termera, o wygłoszenie rekapitulacji naszej wiedzy o działalności ZLP w ciągu czterech lat. Termer rzeczywiście wystąpił przed forum sali, czym mnie chyba uratował. Ale Wawrzkiewiczy od tej pory już na mnie patrzył nieufnie i spychał mnie towarzysko na coraz gorsze pozycje.

Posunąłem się w swojej opowieści za daleko, bo w paru zdaniach zamknąłem okres czterech lat. A czas płynął z wolna. Najbardziej oczekiwanym momentem w życiu członków ZLP były dwa święta: Wielkanoc i Bożego Narodzenia. Na oba te święta Wawrzkiewiczy sobie znanymi ścieżkami pozyskiwał sponsorów, którzy na okolicznościową imprezę, z grą i śpiewaniem, a także recytacjami, fundowali wystawne jadło i napitki, nawet i alkoholowe. Była to uczta dla ciała, pyszna strawa dla ducha. Jedni podchodzili do drugich, łamali się – jak to w grudniu – opłatkiem, życzyli sobie wszystkiego najlepszego, całowali się. I ja miałem przyjemność pocałować parę razy Marka Wawrzkiewicza, co było jakimś zobowiązaniem do wzajemnej lojalności. Lecz pech chciał, że po latach w rozmowie z młodą poetką, moją adoratorką, Stellą Szymaniak opowiedziałem jej o tym. A ona tę moją wypowiedź nagrała i robiąc mi stronę internetową zamieściła ją wraz ze swoim niepowstrzymanym śmiechem. I to nie było posunięcie na poziomie, a Wawrzkiewiczy mógł czuć się urażony i swój dystans do mnie powiększył.

Znowu zapędziłem się w swoich zwierzeniach, ale powiem jeszcze o moich próbach nawiązania współpracy z Markiem Wawrzkiewiczem przy redagowaniu „Myśli Literackiej”. Wiedziałem, że mimo iż Tar-

wacki wciągnął prezesa na listę współpracowników tego dodatku do „Myśli Polskiej”, to patrzył na nasze pismo niechętnie i szybko wycofaliśmy jego nazwisko ze stopki redakcyjnej. Sekretarzem redakcji została później, z małą przerwą dla Andrzeja Wołoszewicza, Janina Wielogórska – poetka i prozaiak, obarczona dużą rodziną. I właśnie, gdy przygotowaliśmy numer pisma z artykułem o jubileuszu 75-lecia życia Marka Wawrzkiewicza, pod moją niewiedzą wysłała przepisany przez nią materiał do tego numeru z własną poprawką pewnych partii mojego tekstu o jubilecie. Naczelny „Myśli Polskiej”, Jan Engelgard, nie puścił tego materiału do druku, odłożył go *ad acta*. Szkoda wielka, bo od tego czasu moje stosunki z prezesem się znów popsuly.

Jak wspominałem, należało płacić składki członkowskie w ZLP, i to w terminie. Miałem kłopoty finansowe po śmierci żony, pozostając na wdowim garnuszku. Nie zaw sze płaciłem te składki na czas. Istniała możliwość, że prezes przy wstawiennictwie Zarządu Głównego naszej organizacji „wyrzuci” mnie z niej. Nic takiego się nie stało. Ale nie zapraszano mnie już na wybory okręgu warszawskiego ZLP, a tym samym nie mogłem uczestniczyć i w wyborach ogólnych. Nie zależało mi na stanowiskach ani na wysokich pozycjach po doświadczeniu funkcji przewodniczącego Komisji Rewizyjnej ZLP, która nawet mogłaby i obalić przy jakimś zbiegu okoliczności samego prezesa tej organizacji.

Jak już wspominałem, źle zaczęło się dziać. Było to od połowy pierwszej dekady do połowy drugiej dekady lat XXI wieku. Doszło do tego, że syn wygrał proces o spadek, bo przejął cały 3-milionowy majątek włącznie z mieszkaniem zapisanym też na siebie. Potem wygrał drugi proces o pozbawienie mnie miejsca, a nawet meldunku w mieszkaniu rodzinnym (w pozwie mieszkaniu to nazwał lokalem). A kiedy czekałem na mieszkanie socjalne, za niepłacenie mu sumy 300 zł miesięcznie za czynsz, pozwał burmistrza Bemowa. Wygrał z nim wówczas proces, co tego drugiego kosztowało z urzędu ponad 100 tys. złotych. Później wywiózł mnie do domu opieki społecznej i szybko wymeldował z mieszkania, co w sytuacji mojej choroby i złego kontaktu między nami oznaczało wyrzucenie na bruk. I potem ta historia z synem po decyzji rodzinnej Koziełskich o pozbawienie mnie prawa do wszystkiego, toczyła się jeszcze dalej, ale już inaczej, tak mniej więcej jak taniec na linie. W każdym razie, gdy moją sytuacja tak zmieniła się na niekorzyść i właściwie nie miałem wyjścia, bo państwowego domu opieki społecznej Bemowo mi odmówiło, a na prywatny nie było mnie stać. Próbowałem się wtedy ratować, na ile mogłem.

Opowiedziałem o wszystkim Jerzemu

Świątkowskiemu, malarzowi, co i jak i ten postanowił mi pomóc. Napisał pismo do prezesa ZLP i zaniósł go do niego, opowiadając o mojej sytuacji różne straszne rzeczy. Wawrzkiewiczy po apelacji Świątkowskiego wystosował pismo, żeby władze Bemowa przyznały mi obszerniejsze lokum socjalne, które przydzielili mi sąd. Ale te władze po ich przegranej z synem chciały się mnie pozbyć jak najszybciej i jak najdalej. Tak więc mimo iż Marek wystosował w mojej sprawie odpowiednią prośbę, nic to nie dało. Tym niemniej polubiłem prezesa, a ja chyba oddaliłem się od niego, bo już mógł mnie mieć za nic. Jakoś wytrzymałem ten trudny okres, a ze strony Związku Literatów Polskich doznałem samych uprzejmości (nawet przyjęto mnie powtórnie do ZLP po niefortunnej próbie przejścia do SPP, a sprawa moja stanęła na obradach Zarządu Głównego tej organizacji). Dowiedziałem się o pozytywnym rozpatrzeniu mego podania o powrót w szeregi organizacji od Stanisława Nyczaja, gdy wrócił z Warszawy, a ja akurat przebywałem w Kielcach na uroczystym spotkaniu autorskim Bożeny Kasprowicz z Londynu. Tę kobietę bardzo polubiłem i spotykałem się z nią trochę, ale tu ważniejsza jest sprawa decyzji ZLP. Dobrą wiadomość Nyczaj wniósł na salę, gdzie ja siedziałem, Katarzyna Gaertner, Zdzisław Antolski, wspomniana Kasprowicz, Rafał Olbromski z Nowego Jorku, Adam Ochwanowski, który wrócił z USA, jego żona, Antoni Dąbrowski i miłośnicy literatury.

Marek Wawrzkiewiczy dawał się poznać jako ciekawy poeta i dobry tłumacz z literatury rosyjskiej. Lecz nawet jak utrzymywaliśmy dystans między sobą, śledził bieżące życie literackie. Raz zauważyłem w bibliotece ZLP, jak bacznie przeglądał mój dodatek „Myśl Literacka”. Usiadłem w pobliżu prezesa, ale nic do mnie nie rzekł. Po dłuższym czasie doszły mnie słuchy, że Wawrzkiewiczy przestrzegał, żeby literaci nie zamieszczali swoich materiałów w moim dodatku, bo wychodzi w piśmie wyraźnie prawnicowym. Nie spodziewałem się tego. Rzeczywiście to pismo musiało początkowo zrażać, bo odmówili dania materiału do niego Andrzej Tchórzewski, Aldona Borowicz i jeszcze niektórzy inni literaci. Z czasem jednak opinia o dodatku się zmieniła, bo do zespołu redakcji na moją propozycję chętnie weszła Ewa Zelenay, bardzo zdolna poetka i członek ZG ZLP, prof. filozofii Maria Szyszkowska, Adam Lizakowski (SPP) i kilka innych osób. Nie taki diabeł straszny jak go malują.

W czerwcu 2016 roku chciałem wprowadzić do ZLP Izabelę Zubko, bardzo zdolną poetkę. Kiedy przyprowadziłem ją do Oddziału Warszawskiego ZLP, żeby złożyła podanie i dokumentację w sprawie przyjęcia

(Dokończenie na stronie 4)

Mały pisarczyk z Małoszyc (5)

(Dokończenie ze strony 3)

do ZLP. W sekretariacie OW ZLP nikogo nie zastałem. Zaszedłem z Izą do Zarządu Głównego tego związku, gdzie oprócz jego sekretarki siedzieli prezes Aldona Borowicz i Piotr Dumin. Izabela złożyła swoje książki i dokumentację, lecz Marek nie chciał tego nawet wziąć do ręki. Sytuację wyratował Piotr Dumin, który wyciągnął Marka i Aldonę do pokoju OW ZLP, gdzie Iza wręczyła swój tomik poetycki Wawrzkiwiczowi, ten przekazał go Aldonie, a ta z kolei przyjęła też przyniesione przez Izę materiały, które miała przejrzeć komisja kwalifikacyjna ZLP i wydać decyzję o przyjęciu jej w poczet członków organizacji.

Marek Wawrzkiwicz okazał się dobrym służbistą, ale raczej zwyczajnym człowiekiem. Jako prezes kontrowersyjnej organizacji, którą niektórzy chętnie by z miejsca rozwiązali, trzymał ludzi silną ręką i pewnie dlatego ta organizacja nie upadła. A może popychał ją w niewłaściwym kierunku i należałoby ją zreformować? Pewne jest, że jeśli istnieją już w naszym systemie politycznym dwie główne partie, to muszą być i dwa związki. Marek Wawrzkiwicz, może nieodkryty poeta, jest nestorem sprawowania władzy w polskim związku literackim.

KONIEC

Polemika

Nowa fantastyka, czyli wspomnienia Stanisława Stanika

Od dłuższego czasu Stanisław Stanik przelewa na papier fantazje i spekulacje dotyczące jego roli i znaczenia w historii literatury polskiej XX i XXI wieku. Zapewne wbrew jego intencjom z tekstów wynika, że miał on kontakty z wielkimi postaciami tego zaułku historii dość zdawkowe i okazjonalne. Szczerze się bawiłem czytając

wywody sugerujące, że wszyscy ci pisarze odnosili się do niego jak do pełnoprawnego partnera... Nie prostowałem, bo i po co? Ale w ostatnim numerze „Gazety Kulturalnej” (z kwietnia 2017 roku) przeczytałem coś o sobie i postanowiłem zepsuć Stanisławowi Stanikowi jego niezmiennie dobre samopoczucie.

Znałem go przelotnie wiele lat. Ale dokładniej poznałem kilka lat temu. Przyjął rezygnację z przynależności do ZLP, ponieważ obiecano mu, że zostanie członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Transfer nie doszedł do skutku. Wtedy przyszedł do mnie Andrzej Zaniewski i poprosił, abym na nowo zbłąkaną owieczkę do Związku przyjął. Uległem i mam czego chciałem. Właściwie nie powinienem tego sprostowania pisać, nie takie rzeczy o sobie czytam, ale skoro już zacząłem...

1. Na szefa śp. „Poezji” zostałem powołany w październiku 1986 roku. Krzysztof Gašiorowski, z którym przyjaźniłem się 53 lata, był moim zastępcą i nigdy nie miał propozycji objęcia „Poezji”. Nie widzę też powodów, dla których miałyby się chwalić zażyłością ze mną, to raczej ja byłem dumny z takiego przyjaciela. „Poezja” została utrupiona w roku 1991, w 25-lecie urodzin.
2. Nigdy nie byłem attache kulturalnym Ambasady w Moskwie. Byłem raptem korespondentem polskiej prasy społeczno-kulturalnej (była taka!).
3. Szefem „Nowego Wyrazu” byłem w latach 1979-1981. Właśnie po likwidacji pisma wyjechałem do Moskwy. To gwoli chronologii.
4. Nigdy nie byłem ani szefem, ani współpracownikiem „Nowych Książek”.
5. Na prezesa ZG ZLP wybrano mnie w roku 2003, cztery lata przed śmiercią Piotra Kuncewicza, który został prezesem honorowym i z którym do jego śmierci się przyjaźniłem.
6. Nie skłóciłem się z Bohdanem Urbanowskim. Nie byliśmy wprawdzie przyjaciółmi, ale ceniłem jego twórczość, czego najlepszym dowodem jest przyznanie mu Nagrody im. Norwida – byłem wówczas przewodniczącym jury. Nie ja, ale choroba spowodowała, że przestał się pojawiać w Domu Literatury.
7. W ciągu 14 lat mojej prezesury ze Związku usunięto 13 osób. Nasz statut stanowi, że już po roku niepłacenia groszowych składek mamy obowiązek wyciągnąć takie konsekwencje. A usunęliśmy – nie ja, a Prezydium na wniosek Oddziałów – ponieważ nasi członkowie nie płacili ćwierć wieku, albo i dłużej.
8. Krystyna Muchowicz pracowała w Związku przeszło 50 lat. Wyprawiliśmy jej huczne pożegnanie, odeszła sama, ale jeszcze przez dobrych kilka lat współorganizowała z nami Warszawskie Jesienie Poezji.
9. To już zupełna aberacja: sprzedaliśmy kawiarnię. Dom Literatury jest własnością Miasta Warszawy. Administruje

nim Fundacja Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej utworzona w roku 1991 przez Związek Literatów Polskich, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Polski PEN Club. Po trzech przedstawicieli tych stowarzyszeń wchodzi do zarządu Fundacji. Fundacja nie może sprzedać czegoś, co nie jest jej własnością. Istotnie: członkowie naszych stowarzyszeń mają prawo do tańszych, literackich obiadów. I piwa.

10. Prawdą jest, że miałem dobre kontakty z wybitnymi postaciami życia politycznego i państwowego. Z niektórymi z nich pozostają do dziś w przyjaźni, bo są to ludzie mądrzy i dobrzy.

Kilka lat po śmierci Jarosława Iwaszkiewicza pewien kiepski pisarz, w przeszłości wysoki urzędnik państwowy, wypowiedział się z pobłażliwością i wyższością o twórczości naszego niezapomnianego prezesa. Pomyślałem: ratlerek ujadający na brytana. Nie wiem dlaczego mi się to przypomniało.

Przed laty pasjonowałem się literaturą science-fiction, potem mi przeszło. Ale Stanisławowi Stanikowi zawdzięczam odnowienie apetytu na fantastykę. Toteż wielkie nadzieje obudziły we mnie trzy literki po jego ostatnim tekście: „cdn”.

Marek Wawrzkiwicz



Rys. Barbara Medajska

Mniej Więcej (147)

Intymność
i istotność

W Sieradzu coś ciekawego się dzieje. Od pewnego czasu ukonstytuowało się tam na dobre środowisko literackie i ukazało się w ostatnich latach kilka dobrych tomików. Sieradzka grupa poetycka „Desant” była chyba afrodyzjakiem tego lokalnego boomu. Mniej więcej rok temu pisałem w tym miejscu o Joannie Chachule... A teraz dopadła mnie nieodparta chęć napisania (nie po raz pierwszy) kilku słów o nowym tomiku Moniki Milczarek.

Leszek Żuliński

Autorka debiutowała w prasie już w 1997 roku (a więc już dwadzieścia lat temu), a pierwszy swój zbiór wydała w 2001 roku, drugi w roku 2013 i niedawno ukazał się jej trzeci tomik pt. *Piórnik przemian*. Jak widać nieśpieszne to pisanie, ale – moim zdaniem – warte zauważenia (zresztą owa „nieśpieszność” zazwyczaj świadomym autorom wychodzi na dobre).

Pani Monika jest z wykształcenia anglistką i nauczycielką języka angielskiego. Zapewne stąd pokusa, by najnowsze wiersze opublikować w wersji polsko- i angielskojęzycznej. Ja, te wersje, pozostawiam specjalistom, natomiast zajrzyjmy do rodzimych tekstów.

Tak się złożyło, że w tym nowym tomiku jest moje posłowie. Nie chcę się powtarzać, więc poniżej przytaczam ten tekst:

To trzeci zbiór wierszy Moniki Milczarek. W posłowie do tomu drugiego, m.in. pisałem: *To mądre wiersze, czułe, ładne w swej prostocie...* To proste zdanko nie grzeszy analityczną wnikliwością, lecz ustala „podwalinę”, którą zazwyczaj kryją w sobie dobre wiersze. Te akurat chyba każdego z nas uwodzą swoją aurą. Czasami miałem wrażenie, że pisała je szamanka. Bo tu nie idzie o żadną faktografię, reizm czy konkret. Tu snują się mgiełki intuicji, wyobraźni, oniryzmu, nastroju, fantasmagorii... Gdzieś na zewnątrz jest konkretny świat – lecz mało ważny. Bo ważny, naj-

ważniejszy jest interior emocji, nadziei, oczekiwań, uczuć... Kosmos wewnętrzny, w którym dzieje się Wszystko Co Istotne.

Oczywiście poezja od zawsze żegluję w takich klimatach. Sęk w tym, że siła naszego intuicjonizmu bywa mocno zindywidualizowana. Monika Milczarek uchyliła nam rąbka swojego Ego – tego, z którym nie obnosimy się na pokaz, a tego, który śnimy. Innymi słowy odkryła własny emocjonalizm.

Mocno widoczna jest w tych wierszach autowiwisekcja, czyli wmyślanie się we własną „tajemnicę”, odczucia, odruchy, niepokoje. Nie ma w tym przerysowanego dramatu, raczej konstatacja owej „tajemnicy”, raczej próba nazywania niepokojów i wahań, które przecież w nas wszystkich się tłuką. Pytanie: na ile świadomie? Poezja ma ten walor, że nie musi tego wszystkiego racjonalizować; wystarczy jak rejestruje puls owych odczuć. I to bym określił jako najciekawszy walor tych wierszy – subtelnie i oryginalnie wyrażany.

Wiele skarg i smutków, jakie tu się dzieją, nie zostało przerysowanych histerią. Raczej „refleksją liryczną”, spleenem łagodnej skargi, lecz przecież to właśnie pogłębia mądry spleen tych wierszy, bo nie przerysowany dramatem, a raczej subtelnie estetyzowany i osławiany mądrą refleksją. W wierszu pt. *księżniczka* autorka cudnie udowodniła siłę i mądrość takiego radzenia sobie z niedosytami własnego żywota. W innym wierszu pisze, że jeśli Kopciuszkowi stłucze się pantofelek, to trzeba siłą woli zapanować nad dramatem. Widzę w tym wszystkim walkę uczuć, emocji, niedosytów z silną wolą nietracenia wiary w los. Tak więc te wiersze nie szcędzą losowi wymówek, ale też nie składają bronii, wierząc w urodę życia. Jest w nich skarga, ale jest i jakaś pogoda ducha. To dla mnie główny morał i mądrość takiej poezji. Skarżącej się, ale niosącej równocześnie jakąś pogodę. Pomyślałem sobie: trzeba mieć *w ustach motyle*. Monika je ma. Są piękne.

Tak więc spacerując po piekielku tych wierszy jednak nie tracimy nieba. Czytając skargi, nie tracimy afirmacji życia. Wyjmując z pamięci twarde do zgryzienia orzechy, rozpuszczamy je w ustach w słodkie migdały. I to jest największy sukces tych wierszy.

No! Tak brzmiał mój komentarz i moja zachęta do lektury. Co jeszcze mogę dodać? Hmm, chyba przede wszystkim to, że wiersze Pani Moniki dzieją się w bardzo intymnej aurze. Nie nazwałbym tego „autowiwisekcją”, jednak jest taka odmiana poezji, która przypomina ciśnieniomierz zaciśnięty na tętnicach autora. Na co dzień żyjemy w jazgocie reizmu, pragmatyzmu, zdarzeń, jakie się zdarzają, ale u osób wrażliwych (czytaj: także poetów) osad się osadza, a fluidy egzystencjalne krążą długo w głowie i sercu. To jest – moim zdaniem – „chemia” tych wierszy. Jeśli weźmiecie tę książkę do ręki, to zauważycie, że do czynienia mamy głównie z epigramatami. Czasami o bardzo konkretnej wymowie, jak np. w wierszu pt. *przemiana: odchodząc / stłukłeś lustro / na tysiąc ostrych kawałków / pozbiałałam je kalecząc palce do krwi / i wyrzuciłam // teraz mam nowe / z hartowanego szkła*. Proszę zauważyć: ten wiersz opowiada o kłęsce miłości, o gwał-

townym rozstaniu. Ale i o przemianie i nauce asertywności. Nasze lustro „opancerzają się”. Kłęska zamienia się w siłę – itd., itp. Zapewniam was, że w oparciu o ten wierszyk umiałbym cały „eseik psychologiczny” napisać. Otóż to!

Inny wiersz (pt. *księżniczka*): *zbroję wykonałam własnoręcznie / smoka pokonałam sama / wiedząc skróciłam o głowę / a trolle zepchnęłam do fosy / opuściłam zamek oddychając głęboko // żadnych śladów końskich kopyt w sercu*. No, nie bardzo wierzę, że łąz brakowało. Ale właśnie od tego są wiersze, że słabość zamieniają w siłę.

Na koniec: tomik jest bardzo pięknie wydany – spory, kwadratowy format (no bo wersja angielskojęzyczna musiała zmieścić się przy polskojęzycznej) i piękne ilustracje fotograficzne, wykonane przez Dariusza Klimczaka.



Monika Milczarek, *Piórnik przemian*. Wydawca: Sieradzkie Centrum Kultury, Sieradz 2017, s. 46.

Monika
Milczarek

Stara panna

samotność jest jak suka którą da się oswoić
niekiedy jednak gryzie
zwłaszcza w weekendy i święta

dlatego wolę koty

Odrosty

modliszko, siostrzo moja
dlaczego tak późno cię poznałam
może dlatego, że zamiast głowy
ktoś odgryzł mi serce

nie przytulę cię

przecież odrośnie mi
jak jaszczurce ogon

Miroslaw Pisarkiewicz

Batignano

zamieszkałem na plebanii
toskańskiego miasteczka
moje ubrania zawisły w szafie
obok sukienek Matki Bożej
— ciekawe sąsiedztwo sacrum i profanum
uliczki pachniały cieniami Etrusków
chlebem i oliwą
wieczorami przechadzał się po nich
Venerabile Padre Giovanni Nicolucci
nucąc piosenki z Maremmy
i dziwiąc się
że nic tu się nie zmieniło
choć zmieniło się wszystko

taka cisza
jakby wymodliła się przestrzeń

i tylko ludzi coraz mniej widać
w kościele
San Martino Vescovo

koty zaniepokojone chrapaniem zza
wzgórza
tańczą wokół starego fotela

biorę w dłonie renesansowy starodruk
z ręcznie pisanym ekslibrysem
świętobliwego męża

obracam w dłoniach nierozcięty czas

Camille Claudel

Spaceruję po łące z moim Jednorożcem
w ustach smak świętojańskiego chleba
w oczach oczy i... *Fala*
którą chciałaś odpłynąć od Rodina do siebie

Jednorożec nie pozwala na rozmarzenie
opowiadając o wszystkich latach
nierzeźbienia
w *Asile de Montdevergues* – domu dla
obłąkanych
w Montfavet koło Awinionu

Domu bez skrzydeł

Jednorożec opisuje rzeźby
które nie przybyły na czas
a gdy kończy opowieść o ostatnim dźwięku
ociemniałego dźwięku
zaczyna ją płynnie od nowa
zacięta płyta jego historii
biegnie przez każdą godzinę
trzydziestu lat szaleństwa i kolejną i jeszcze
jedną

aż do wyczerpania światła fałszywego azylu
biel szarzeje i czerń szarzeje
ale szarość można pokryć kolorami
oczekiwań
na powrót własnej woli i cień matczynej
troski

pasji – bez której człowiek umiera
przez zbyt wiele lat

Ignacy S. Fiut

Ruchomy cel istnienia

Stanisławowi Czerniakowi

w szczelinach rzeczywistości
w zakamarkach pamięci butwieją
znaczenia naszych słów

nad głowami zwróconymi ku niebu
gwiazdzystemu lśni deszcz meteoroidów
rozgrzewa nasze ciała do białości

tam wieczność przybrała postać komety
z białą brodą i wskazuje człowiekowi
ruchomy cel istnienia

a kropla potu między oczami podpowiada
duszy drogę do wiecznej naszej
znikomości

Uniwersalia – Anno Domini 2017

Piękno –
bują w obłokach i wędruje ku
mgławicom Drogą Mleczną
hen – między gwiazdami

Prawda –
osaczona przez syczące postprawdy
wytrzeszcza oczy i z wywalonym
jęzorem toczy pianę: krztusi się

Dobro –
leży pod murem od wielu lat
z czarnymi pryszczami na ciele
leczy przewlekłego kaca

moralnego

Krystian Medard Manteuffel

...wernisarz (impresja)

...usunął cień, zostawił światło;
Boże, tyle barw i jasności tyle!

Tyle krwi w tym świetle; czemu tyle zła
i pychy na świecie,
który stworzyłeś, Boże?

Kiedy Twój syn człowieczy w odzieniu
zgrzebnym...

W wielkim muzeum wielkiego niemieckiego
miasta-molocha,
po obrazach mistrza renesansu
błądzą oczy o różnych barwach i konturach.

Ogień i topór przemawia ze złotych tronów
i marmurowych sal władców dusz.

Światło na obrazach Cranacha
odbija się od blasku papieskiego
pierścienia,
przenika przez ciemne witraże pałacu,
rozpoznają je oczy na górze Tabor.

Mojżesz i Eliasz rozmawiają z Chrystusem,
*twarz Jego zajaśniała jak słońce,
odzienie zaś stało się białe jak światło*;
syn widzi w dolinie żyzne pola i kwitnące
sady*

*stworzone przez Ojca,
i wszyscy trzej słyszą
dobiągające z doliny
głuche odgłosy ciosanego pnia
(Mt 17,2b)

...noc czerwcową

...za chwilę zacznie się najkrótsza noc roku.

Możemy zaskoczyć ptaka, który przysiadł
tuż przed nami,
między jasnością i mrokiem zatrzymać cień
wymykający się spod naszych stóp w
ostatniej chwili dnia.

Możemy wzrokiem sięgnąć za odlatującym
ptakiem nocy,
kazać iść naszej drodze samotnie w
nieodgadniony dzień,
i razem stać cząstką wśród
uporządkowanych praw przyrody.

nie zostawiając śladu...

...comédie larmoyante

*W godzinach rozterki
i mętneho światła
na Golemie oczy
swoje zatrzymywał.*

J. L. Borges – *Golem*
Przekład: E. Stachura

...pierwsza odsłona w tym kraju; pyszna,
czerwono-złota,
jak liście na dębach i bukach; wszak to
jesień przecież,
a więc nie trzęs się ze strachu, bo może
opaść,
a my nie wiemy, co nam ta odsłona
przyniesie.

By nie zginać w tłumie, daj mi Twoje serce.
A tutaj masz moje.
Jest nieco za wielkie – weź je w obie ręce
i nie gryź, do diabła,
bo nie jest z piernika! Usiądźmy w ostatnich

rzędach;
tu nie trzeba śmiać się, kiedy chcemy
płakać.

Kurtyna opadła!

Najwięcej braw zebrali prominenci.
O, nasze roztargane dusze!
I gdzie by i na czym tu zatrzymać oczy?
Ja na Tobie, Ty na mnie?
Golemy my marne; ani złości w nas dosyć,
potworności żadnej.

Stwory z łaski bożej w biało-czerwonych
desusach;
jutro nasze stroje damy do lamusa
i zagramy,
bez budki suflera – improwizacja jest tutaj
mile widziana...

Comédie larmoyante!..
...być może jest jeszcze coś do zapłakania?...

Nina Pawlaczyk

Wielka podróż

Jeszcze w strojach podróży
przez granice czasu, miejsca i akcji
wędrujemy
pątnicy strudzeni
ledwo znacząc trop klucząc
pełni wiary tak łatwiej
to znów w ciemność wpadamy zwątpienia
jeszcze tłą się płomyki
jeszcze raźniej we dwoje
wciąż w podróży trwamy w zachwyceniu
idą dni kiedy trzeba
z przymusu wewnętrznego
stanąć
czyniąc rachunek sumienia

Nie znajdę dziś

Nie znajdę dzisiaj już
tamtych muszelek
którym serca mroki i nadzieje
powierzyłam wczoraj
one już nie istnieją
jak serca kruche i białe
które z nich układałam
wszystko zniknęło
w szmaragdowej toni
dzisiaj wzrok mój w niej tonie
razem z myślą o tobie

* * *

Niczego już nie dociekać
nie próbować zrozumieć
nie pragnąć i nie łaknąć
nie spodziewać
nie wyglądać i nie czekać
tylko słuchać patrzeć
z ptakami
nim odleceć
czasami jeszcze cichutko
zaśpiewać

Barbara Gajewska

tamtego wieczoru

tego dnia nie stało się nic
nieco zaskoczyła nas pogoda
tak pięknie wirowały płatki śniegu
tak cicho pękały sople rąk

wtedy z mojego czekania
wyłoniła się
taka jedna

nie czas było pytać
wiedziała że gdy pada śnieg
klaksony samochodów nie przebijają wieczoru
a jednak każdy mój krok był zbyt kruchy
by doprowadzić do zrozumienia

taka jedna istniała bez aplauzu
czas bezszelestnie rozwijał przed nią echo
tamtego światła

myślała
że wystarczy milczenie starych domów
albo daleki pomruk stada wypatroszonych
rad

na każdym chwiejnym moście

tak też można
bez głębszego oddechu
bez rąk i bez zarcucia sieci
powiedziała
taka jedna
tylko po co wtedy patrzeć na ciszę umierania
i udawać że się słyszy srebrną poświatę
słowa

taka jedna
miała ciepłe ręce

rozdarcie

taka jedna
zakrywa oczy
w ciasnych ramach jej świata umierają
kwiaty

i zgubił koła Wielki Wóz
wciąż kładą się po ziemi dymy znad Birkenau
a płomienie z World Trade Center
pożerają resztki wiary
której nie może wskrzesić poszarpana
skóra Chrystusa

z filmu Mela Gibsona

taka jedna
zakrywa uszy
syk lawy zwątpień jest mocniejszy niż
zmartwychwstanie
więc może lepiej nie słyszeć
pytania Piłata o prawdę
rozsypaną nad Jerozolimą
i Jedwabnem

taka jedna
zakrywa usta
nie chce by słowa stawały się kolejną ścianą
płaczu
w milczeniu mija targowiska racji

i dziurawą ciszę
przed wyborami
czego chce

taka jedna
co nie umie nawet zdmuchnąć kurzu
z ram swojego świata

taka jedna tańczy

taka jedna
zgubiła się w środku dnia
z mapą egzystencji
kreśloną skrupulatnie przez największych
mędrców

w labiryncie drogowaskazów
ustawianych przez ludzi dobrej i złej woli

chodzi teraz po omacku w swoim lesie
od pnia do pnia
wyłuskuje ślady ciepła
z ognisk zgaszonych przed odejściem
wysnuwa śpiew łabędzi
z zapomnianych wierszy
oszałała

taka jedna
patrzcie no
tańczy sama na polanie i płacze
w śmiechu zagrzebuje swój zbutwiał los
jaka ona lekka bez bagażu cudzych spraw
nie ciągnie za sobą spadochronu słusznego
racji
zbiera potknięcia bólem zdjętych z krzyża
rąk

jaka ona inna
ona chyba nie stąd

niech tak błądzi po wertepach nocy
może wreszcie znajdzie kwiat paproci

taka jedna przed nocą

taka jedna przeszła przez kolejny dzień
suchą stopą
a było tyle kałuż po rozterkach
i niepewnościach

przed nią kolejna noc do pokonania
z wielkim garbem głodów
szarpających ostatnie strzępy życia

taka jedna pokonała już wiele dni i wiele
nocy

i mogłaby nosić wysoko głowę
i stawiać pewnie kroki na krawędzi zmagania
i śmiać się w twarz lękom i obawom
bo co jeszcze mogą wyrzucić na jej brzeg
fale odpływającego czasu
i co jeszcze może spotkać
na wysychających łąkach czasu
napływającego

taka jedna wie
że może usiąść pod dowolnym drzewem
i nie czekać

tylko nie rozumie
dlaczego kolejna noc
jest jak jaskinia jednookiego Polifema

Henryk P. Kosk

Z pamiętnika żołnierza Podlasiaka cz. II (2)

Lipiec

Szef jest na urlopie, ale nie wyjechał nigdzie. Wyjeżdża dorywczo na kilka dni, oczywiście służbowym Willysem. Całe gospodarstwo na mojej głowie. Ta okoliczność pozwoliła mi zbliżyć się do dowódcy brygady, z którym dotychczas nie miałem żadnych właściwie kontaktów. Jakoś szybko, po kilku spotkaniach, przypadliśmy sobie do serca. Jest on Polakiem zza tzw. linii Curzona. W 1940 roku został powołany do Armii Czerwonej. Tam wyrósł i Związek Radziecki stał się jego drugą ojczyzną. Wołyniak był pod Stalingradem, wojnę poznał więc dobrze. Robi wrażenie człowieka, któremu wszelkie sukcesy nie przychodzą łatwo. Wymagający, twardy, a nawet uparty. Równocześnie ma coś z wielkiego dziecka, które stale odkrywa świat i lubi, kiedy się je chwali. Przyszła moja z nim współpraca powinna się dobrze układać.

Skorzystałem z okazji, by przedstawić swój plan poprawy sytuacji mieszkaniowej oficerów oraz porozmawiać o niedociągnięciach służby kwatermistrzowskiej, które widać na każdym kroku. Dowódca zaaprobował z miejsca sprawę remontu pierwszego piętra przy Deptaku z przeznaczeniem pustych ruder na mieszkania dla naszych oficerów. Uzyskałem też zgodę na remont pomieszczeń wydziału (w których krwawe plamy po zgłodzonych pluskwach robią niesamowite wrażenie jakiejś średnio-wiecznej katowni z obryzganymi krwią ścianami) i hoteliku (znanego mi z pierwszych chwil po przyjeździe do X). Dowódca wezwał kwatermistrza i rozkazał natychmiast przystąpić do dzieła. Kwatermistrz zaczął tłumaczyć, z jakimi trudnościami związane jest przystąpienie do remontu: brak pieniędzy, wykonawcy, projektu technicznego, zezwoleń władz itp.

Dowódca przerwał mi:

– Macie rozkaz, to wykonujcie. Pieniądze to wasza rzecz się wystarać, plan powiem kapitan – wskazał na mnie – zezwoleń nie trzeba, bo macie mój rozkaz, a reszta mnie nie obchodzi.

Sprawa przeniesienia sztabu na ul. Cmentarną nie przeszła. Nie od razu Kraków zbudowano.

Sierpień

Mam urlop. Pierwszy normalny urlop w życiu. Spędzam go na łonie rodziny, w jej nowym miejscu zamieszkania, w warunkach, o których moi rodzice mogli niegdyś

tylko marzyć. Nie poznają ani wsi, ani obejścia moich starszaków. Wieś tętni życiem. Po Niemcach nie ma śladu, nie ma śladu martwoty i pustki, tak charakterystycznej dla okresu tuż po osiedleniu się moich. Gospodarstwo kwitnie. Ojciec przyłożył się do roboty i w ciągu krótkiego czasu nie tylko dźwignął z ruin całe obejście, ale doprowadził do dobrobytu. Pracują wszyscy i rezultaty tej pracy widać. Dobrze mi jest w domu. Odpoczywam psychicznie i fizycznie, chociaż pomagam przy żniwach. Zawsze lubiłem kosić zboże. Ręce odzwyczały się już od fizycznego wysiłku, ale wdrażam je pomimo bąbli. Pogoda dopisuje. Okolice prześliczne. Czuję się jakbym je znał od dziecka, a w rzeczywistości to przecież dopiero niepełne 3 lata.

Październik

Nie miałem czasu na systematyczne prowadzenie tych notatek. Zbyt wiele się dzieje i nie wiadomo za co się chwycić. Pszenicki zdał mi wszystko i przez miesiąc pakował się, załatwiając równocześnie sobie wiadome tylko sprawy.

Wszystko zmieniło się w tym stosunkowo krótkim czasie. Zmieniają się ludzie, zmieniają zadania. Odszedł chor. Bliski i w spadku zostawił mi pokój, który zdobył był jakimś cudem i urządził go z istic kobiecą starannością. Mieszkam w nim od lipca, ale wkrótce zajmę mieszkanie po swoim byłym szefie. Jestem zadowolony z tego kąta, chociaż nie jest on idealny. W tym samym lokalu mieszka cała rodzina, w tym trzy panny dybiące na moją cnotę. Gorzej, że mnie szpiegują i przeszkadzają przeszwarcować inne cnoty, na które ja dybię. Teraz to już nieważne. Żenię się za kilka dni i zerwałem z dotychczasowym trybem życia. Nie ma czasu na bzdury i nie wypada, by poważny szef uganiał się za spódnicami. Czas usatkwować się, bo to mogłoby się źle skończyć. Moi koledzy pożenili się i wyszło im to na zdrowie. Żegnajcie więc uroczę X-nianki, ja pozostanę przy jednej z nich, tej naj, naj, naj. Miałem trochę na tym tle awantur, ale się wyłabudowałem. Nie bardzo sobie wyobrażam moje życie rodzinne. Nie mam dosłownie nic i Moja Wybranka podobnie. W nowym mieszkaniu będziemy grali w piłkę nożną, a może w ciuciubabkę, bo jest dość obszerne i zanim powoli się wypełni, dużo wody upłynie w pobliskiej rzeczulce. Inni oficerowie są w podobnej sytuacji, ale nie przejmują się i swoje robią. Jakaś epidemia żeniaczki, czy co? A może to właśnie normalny proces stabilizacji życia, któremu każdy podlega.

1949

Styczeń

Jestem już statecznym i zakochanym żonkosiem. Mamy duże, puste mieszkanie, czajnik, w którym żona gotuje dosłownie wszystko, i kupiony na raty tapczan – zwany myślą z racji koloru obicia. Przyjaźnimy się z Wołyniakiem i Gałązkami, którzy mieszkają przez ścianę.

Kwiecień

Nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy brygady. Ppłk Wołyniak awansował na tytularnego pułkownika i przeszedł na zastępcę dowódcy Korpusu. Rozpadła się nasza trójka, którą oceniono jako najbardziej zgrany, spoisty zespół dowódczy. Dobrze nam się razem pracowało, co nie oznacza, że każdy z naszego triumwiratu nie miał swojego zdania i że nie było dyskusji. Z różnicy zdań rodziły się słuszne decyzje i wychodziły one na zdrowie jednostce. Każdy wnosił coś od siebie i w życiu służbowym, i prywatnym. Nasze robocze spotkania Gałązka okraszał swoim dowcipem, humorem może mało wybrednym, ale koniecznym w twardej żołnierskiej rzeczywistości. Wołyniak stracił swoją sztywność, zszedł z piedestału i żegnał się z jednostką z ciężkim sercem. Nowym dowódcą brygady jest żywy, pełen temperamentu i wigoru, niewielkiego wzrostu major. Do żołnierzy zwraca się per „Te, Ignac Ignac”. Tak go będę nazywał. Ignac wygląda na morowego chłopca, nosi czarny wąsik, co przy jego czerstwej, rumianej cerze, czyni go przystojnym mimo podłego – jakby się wyraził Zagłoba – wzrostu. To na pewno wybitna indywidualność, ale wobec wypracowanego u nas stylu pracy, będzie musiał podporządkować się zespołowi, bo przecież większość tego zespołu, to znaczy Gałązka i ja, pozostaje.

Jesteśmy w trakcie organizowania obozu rekruckiego. Będzie on na starym miejscu na Dąbrowie. Pierwsi rekruci już przybywają. Cackamy się z nimi, pieścimy, prowadzimy za rączkę. Ignac jest niezwykle czuły na punkcie spraw bytowych żołnierza. To mi bardzo odpowiada i z miejsca znaleźliśmy wspólny język. Jest doskonałym organizatorem i ma oko na wszelkie braki i niedociągnięcia. Mimo wielkiego mojego szacunku i przyjaźni z Wołyniakiem wydaje mi się, że brygada zyskała na zmianie wodza. Jako stary już żołnierz tutejszej jednostki wprowadziłem naszego dowódcę w tajniki sytuacji w terenie.

Zrealizowałem do końca swój plan przeniesienia sztabu na ul. Cmentarną i uwolnienia tą drogą kilku tak potrzebnych mieszkań. Ignac przyjął go z entuzjazmem, bo i sam jest zainteresowany w uzyskaniu odpowiedniego locum. Wołyniak zajmował maleńki pokój, odpowiedni dla kawalera. Ignac jest żonaty i dzieciaty, a ponadto przyzwyczajony do wygod mieszkanio- wych. Problem więc, w naszych warunkach, nie byle jaki. Mój wydział przenosi się na ul. Parkową w ciche, ustronne i wygodne miejsce. Wraz z plutonem ochrony zajmie- my parter, a piętra wzbogacą zasoby mieszkaniowe jednostki. Cały dom przy Deptaku stanie się mieszkalny i przestanie straszyć uzbrojoną wartą i innymi realiami dotychczasowego swojego przeznaczenia. Roboty jest dużo. Dużo obiecujemy sobie po nawiązaniu kontaktu i utrzymaniu go z rezerwą naszych wojsk, zamieszkałą na terenie województwa. Organizujemy więc złoty rezerwistów w różnych rejonach, pomagamy byłym żołnierzom w uzyskaniu pracy w cywilu, a nawet wyciągamy zdol- niejszych na różne kursy i przeszkolenie tak cywilne, jak i wojskowe. Trzeba zagospoda- rować Dzikie Pola i stworzyć przemysł w tym rolniczym województwie.

Czerwiec

Reorganizacja zakwaterowania prze- biegła w tempie błyskawicznym. Ignac już mieszka w tym samym domu co my, już zdążył sprowadzić rodzinę, a żona zdążyła urodzić mu syna. Jest z niego niezmiernie dumny. Lusią, żona dowódcy, jest przemiłą, śliczną dziewczyną. Mają starszą córeczkę Basię i wyglądają na szczęśliwą rodzinę. Zaprzyjaźniliśmy się od pierwszych dni. Nasz zespół dowódczy wzmacnił się, bo Ignac chociaż emanuje energią i jest nie- zwykłe samodzielny, szybko przyjął do- tychczasowy styl naszej pracy, a nawet wzbogacił go o nowe elementy. Jesteśmy nader zgrany zaprzęgiem. Rozumiemy się bez słów. Trzymamy się kupy. Wszyscy należymy do ludzi towarzyskich i w miarę możliwości prowadzimy życie towarzyskie. Garnizonowy Dom Żołnierza stał się miej- scem częstych naszych spotkań. Bawimy się, chodzimy do operetki, ulubioną roz- rywką stały się słone kawały. Nie zaskle- piamy się w swoim gronie. Rozszerza się ono stale o coraz nowych ludzi. Staliśmy się ogniskiem przyciągającym ludzi żyjących dotąd w odosobnieniu, w pojedynkę. Tak powinno być. Człowiek nie może żyć tylko jednym zagadnieniem. Życie jest zbyt bujne i bogate, a my jesteśmy tak jeszcze młodzi i tak niewiele z niego korzystamy. Trzeba korzystać.

Inaczej obecnie wygląda sytuacja moich podwładnych. Awansują, żenią się, znajdując cel w życiu. Męski już dawno sprowadził rodzinę, Ptak ma już córkę, nawet sierżant, mój sekretarz, uważany przez Pszenickiego za zupełną fajtlapę, odżył, wyprostował się jakoś i smali cholewki do nowej, bardzo miłej maszynistki. Trzeba będzie zrobić go

oficerem, bo to ambitny chłopak, chociaż cholernie zaniedbany. Oficerowie nie upija- ją się już tak, jak przedtem. Myślą teraz o kupnie mebli, radia, urządzeniu się i stwo- rzeniu materialnych warunków bytu dla stale powstających i powiększających się rodzin. Zaczynam namawiać bractwo, by wzięło się za naukę, bo to wszystko ma zaledwie szkołę podstawową, a ci, którzy ukończyli 1 lub 2 klasy gimnazjum, uważani są wprost w za uczonych.

Tylko patrzeć, jak zostanę szczęśliwym tatą.

Sierpień

Ale użyłem. Człowiek do końca życia pozostanie głupi dlatego tylko, że uważa się za mądrego. Chciałem z żoną spędzić solid- nie urlop, czyli coś zobaczyć, odpocząć, odwiedzić rodzinę i w ogóle ten nasz pierwszy wspólny urlop miał być na wysoki połysk. Pojechaliśmy najpierw do Ściecho- wa. Potem do Szczecina, a stąd statkiem do Świnoujścia. Na statku żona omal nie uro- dziła. Świnoujście godne pożalowania; jedna pusta ruina, do której nie warto było się ciągnąć. Dalej ruszyliśmy w kierunku Szklarskiej Poręby, gdzie mieliśmy spędzić wczasy. To już był szczyt, delikatnie mów- iąc, braku doświadczenia. Dobrnęliśmy do Jeleniej Góry. Nie wiem, co nastąpiłoby dalej, gdyby nie cud. Właśnie tu doszły wieści o „cudzie” w X. Żona czuła się coraz gorzej i kilka razy groziło nam, że poród nastąpi w najmniej sprzyjających temu okolicznościach. „Cud” zaważył na jedynie słusznej decyzji powrotu. Podróż była jednym pasmem cierpień jej, a moich udreń i niepokojów. Zakończyło się szczęśliwie. Wróciliśmy do zakurzonego mieszkania i Moja Pani, po tyłu przeżyciach i nieprze- spanej nocy, rażąco zabrała się do porząd- ków, ja zaś udałem się do sztabu, bo pomi- mo urlopu poczuwam się do odpowiedzial- ności za wszystko, co dzieje się w jednostce i województwie.

Do brygady przystano mi por. Krup- skiego. On cieszy się z tego, ja nie jestem zachwycony, bo Szczepcia zbyt dobrze znam i wiem, co potrafi, a w naszych wa- runkach kontrola jest utrudniona. Z kolegi awansowałem na przełożonego, ale muszę pozostać kolegą, nie zapominając o wyma- ganiach służby, która – jak mówi przysłow- ie – nie jest drużbą. Wypiliśmy tradycyjne pół litra i wygłosiłem odpowiednią mowę. Szczepan zaaprobował moje stanowisko i obiecał lojalność. On jest niepoprawnym entuzjastą. Cieszy się z okazji buszowania po terenie, bo nie wie jeszcze, co to znaczy.

Listopad

Znów zmiany. Odszedł Gałązka. Zespół jeszcze raz rozpadł się, chyba pozornie, bo jest zbyt mocno zakorzeniony, by nie odro- snąć. Wołyniak pomimo tego, że piastuje wysoką godność w stolicy, w dalszym ciągu czuje się członkiem naszej paczki. Kiedy któryś z nas jest w Warszawie, obowiązko-

wo odwiedza go, zdając prywatne sprawoz- danie ze wszystkiego, co dzieje się w X. Wołyniak ożenił się. Przywiózł sobie żonę z Moskwy i bezzwłocznie przyjechał z nią do nas. Coś jakby prezentacja nowego członka rodziny. Opiliśmy to wydarzenie uroczystie i przyjęliśmy Walę do swojego grona. Za- sługuje na to. Charakterem przypomina Walę Grzędzicką. Włodzio zakochany w żonie po uszy i dumny jak paw. Ta prezen- tacja odbyła się wcześniej, jeszcze gdzieś na wiosnę, a Gałązka odszedł niedawno. Z żalu chyba, że odchodzi z naszej jednostki po- kłócił się z Ignacem i to bez żadnego powo- du. On jest narwany ten cały Gałązka, ale dobry chłop i ciężko było się z nim rozsta- wać. Nowym zastępcą jest kpt. Piekutowski, starszy facet z rewolucyjną przeszłością. Wykształcenie zdobył w sanacyjnych wię- zieniach, jest więc mocny w teorii marksiz- mu, ale w naszej praktyce na razie zielony. Szybko przystosował się do naszego stylu pracy i uznał nasze doświadczenia. Zespół, pomimo zmian osobowych, trwa.

Nasza jednostka uważana jest za jakąś szkołę reedukacji. Zaczęto zabierać nam dobrych oficerów, a przysyłać barachło, które gdzie indziej do niczego się nie nada- je. „Wy tam ich wychowacie albo wykoń- czycie” – oto motywacja tych zmian. Nasi rosną. To jest jakaś satysfakcja, ale dlaczego mamy cierpieć za innych.

Zabierają mi coraz to kogoś innego. Ja dobrych ludzi nie wykańczam, choćby mieli tysiące wad. Zarząd nie wierzył mi i zwrócił się o opinię Krupskiego do Ignaca. Ignac jeszcze lepiej scharakteryzował Szczepcia i pierwsi po Bogu dali za wygraną: – „Wi- docznie cuda dzieją się u was nie tylko w katedrze” – miał się wyrazić ktoś z Olimpu. Cuda nie cuda, ale pogałem chłopców do nauki. Poszli za moim przykładem. Por. Męski twardo chodzi do budy i kuje loga- rytmy, Śliski to samo. To nie prosta sprawa w naszych warunkach. Na pewno trudniej uczyć się, niż pić wódę i ganiać za babami. W miarę możliwości pomagam, sprawdzam wyniki – to mobilizuje. Mnie też nielekkio, ale wyciągnąć muszę i to nie jako ostatni.

Z Ignacem żyłem się już nie jak z przy- jacielem, lecz jak z bratem. Bardzo go lubię i on też chyba darzy mnie dużą sympatią. Tak jest w służbie i w życiu domowym. Lusią jest przemiłą kobietką. Stale przeby- wamy razem, tworzymy jedną jakby rodzi- nę. Taką trwałą nic przyjaźni zawiązaliśmy w ubiegłym Nowy Rok. Całą noc sylwestrową spędziliśmy u Ignaców. Płonął kominek, tańczyliśmy, śpiewaliśmy stare „zakazane” piosenki, popijaliśmy za pomyślność i zdrowie. Ignac jest krakusem, dużo przeżył i pomimo pozorów pewnej oschłości i trzeźwego realizmu – jest romantykiem. Rozkrochmalił się wtedy, wspominał Kro- wdrzę, ojca dorożkarza „o w takim, rozu- miesz mnie, kaśkiecie. A ta jego kobyła, mówię ci, tak go znała, że jak sobie pod- chromolił, to wiozła go prosto do domu”.

W takiej atmosferze, jaką mam tu, w tym początkowo nie zachęcającym X, chciał- bym być zawsze.

(Dokończenie na stronie 10)

1950 Maj

Tak przyjemnie zaczął się ten rok, a tak przykro teraz przebiega. Nie możemy otrząsnąć się jeszcze z wrażeń. Tak kochaliśmy wszyscy Lusię, tę śliczną, miłą, dobrą dziewczynę. Już jej nie ma. Trudno się z tym pogodzić, że Basia i Józio nie mają już matki, a my przyjaciółki. Nie mówię już o Ignacu. On przeżył to strasznie – i śmierć, która jest jakimś niezrozumiałym, strasliwym nieporozumieniem, i atmosferę, jaka wytworzyła się wokół tej smutnej sprawy. Jak on biedak da sobie teraz radę z maleńkimi dziećmi, które nic nie rozumieją. On sam załamał się, on ją bardzo kochał.

A życie płynie i ma swoje wymagania i nakazy. Zabliźni wszelkie rany, zakryje je. Na gruzach i trupach krzewi się jeszcze bujniej, jeszcze bardziej burzliwie. Przekonałem się o tym będąc znów na terenach, które uparcie kojarzą mi się z Dzikimi Polami. Bywałem tam zimą, ale zima ma inne prawa i przywileje. Zima to symbol snu, martwoty. Wiosna dopiero ożywia wszystko, ona jest symbolem życia. Dwa lata upływają od czasu, gdy pierwszy raz odwiedziłem te strony. Jakże się tu zmieniło. Daleko, jak okiem sięgnąć rozciąga się falujące morze dorodnych zbóż. Wiatr pieści pierwsze, nieśmiałe jeszcze kłosa, a od ruchu wonnych fal aż w głowie się kołuje. Dzikie chaszczki i zarośla ustąpiły miejsca pożytecznym roślinom, owocom pracy człowieka. Cisza jest już inna. Buduje się. Rozjechanymi drogami ciągną przyczepy pełne cegły, wapna, cementu. Skończył się czas śmierci, nadszedł czas życia.

KONIEC



Kosiński i jego ptak (malowany)

Larvatus prodeo (przychodzę w przebraniu) – tak mawiał o sobie sam Kosiński, powieściopisarz, aktor, fotograf, scenarzysta filmowy, wykładowca uniwersytecki, prezes amerykańskiego PEN-Clubu, autor książek, broszur i artykułów publicystyczno-naukowych, laureat wielu prestiżowych nagród.

Jerzy (Nikodem) Kosiński, urodził się 14 czerwca 1933 roku w Łodzi. Lata II wojny światowej spędził we wsi Dąbrowa u polskiej rodziny katolickiej, gdzie wywiózł go ojciec zmieniając nazwisko z Lewinkopf na Kosiński, z fikcyjnym świadectwem

chrztu. Po wojnie mieszkał w Jeleniej Górze. Studiował u prof. Józefa Chałasińskiego na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie uzyskał dyplom na wydziałach nauk politycznych i historii. Po studiach został asystentem w Instytucie Historii i Socjologii PAN. W 1957 roku wyjechał na stypendium do Stanów Zjednoczonych, gdzie pozostał na stałe. W 1965 roku otrzymał amerykańskie obywatelstwo. Był stypendystą Guggenheima (1967), Forda (1968) i American Academy (1970), absolwentem Columbia University. Wykładał na uniwersytetach Yale, Princeton, Davenport i Wesleyan. Jest laureatem prestiżowej nagrody National Book Award (1969), zdobył wyróżnienie National Institute of Arts and Letters (1970), Le Prix du Meilleur Livre Etranger (1966) oraz wiele innych. Uhonorowany przez Amerykańską Akademię Sztuki i Literatury. Był prezesem Oksfordzkiego Instytutu Studiów Polsko-Żydowskich.

Kiedy koledzy literaci kolekcjonowali pióra i wycinali recenzję na swój temat z gazet, on kolekcjonował przedmioty, które zasilają go wena wraz z napływającą do głowy krwią. W jego niecodziennej kolekcji szczególnie miejsce zajmowały pejzże, maki i erotyczne stroje. Był zdecydowanym zwolennikiem kobiet, sadomasochizmu i przebieżanek.

W latach 60-tych spotykał się z Haliną Poświatowską, którą fotografował i którą porzucił twierdząc, że ma zbyt wiele ran na ciele i duszy, by mieć serce zdolne do kochania. Dwa miesiące po ślubie z Kiki von Fraunhofer niewierzący w miłość Kosiński zakochał się po uszy w Urszuli Dudziak.

Książki Kosińskiego były i są tłumaczone na wszystkie ważniejsze języki świata. Początkowo wydawał pod pseudonimem Joseph Novak.

Napisany w 1965 roku *Malowany ptak* otworzył mu drogę do kariery i jednocześnie okazał się najwybitniejszą jego powieścią, wokół której narosło wiele wątpliwości nie tylko, co do treści, ale też autorstwa. Wraz z Kosińskim, zbyt słabo znającym wówczas angielski, nad tekstem pracowało kilku mniej albo bardziej świadomych swej roli „redaktorów”. To powieść, która po wydaniu podzieliła krytyków na tych, którzy uznali, że *Malowany ptak* jest wstrząsającym dokumentem i na tych, którzy uznali, że to jedna wielka bujda na resorach. Choć wiele jest w niej wątków autobiograficznych, nie jest realistycznym zapisem osobistych przeżyć, ale surrealistyczną przypowieścią ludzkiego losu. Akcja *Malowanego ptaka* dzieje się podczas II wojny światowej i jest przedstawiana z perspektywy chłopca, uważanego za żydowskiego przybłędę, który walczy o przeżycie w czasach faszyzmu. Bohater to dziecko, a wojna w oczach dziecka ma zawsze wymiar apokaliptyczny. W tym wypadku toczy się dramat odmienca, pomalowanego ptaka, zadziobanego przez stado. Wiadomo, że Polacy to przewrażliwiony naród na punkcie swojej historii i w przejawskrawionych mitach o bohaterstwie i tolerancji Polaków wobec Cyganów, Żydów i Arabów oraz innych mniejszości i odmienności; wręcz

kipi od hiperbol pozytywnych cech Polaków. Nic, więc dziwnego, że odebrano tę świetnie napisaną powieść zbyt dokumentarnie, stawiając zarzut antypolskości. Warto zwrócić uwagę na społeczny komentarz autora opisującego przekonanie chłopca, że posiadanie jasnych włosów i niebieskich oczu gwarantuje przychyłność Boga. Odmienność niestety do dnia dzisiejszego godzi w tolerancję ludzką i nadal jest wielkim problemem akceptacji mimo bardziej cywilizowanych czasów niż czas II wojny światowej.

Amerykanie bez skrępowania używają sformułowania „pisarz amerykański”, kiedy to polscy historycy literatury studiując tożsamość Kosińskiego nie potrafią zdecydować, czy zakwalifikować jego nazwisko do kanonu polskich twórców literatury powojennej. Wszak nie tworzył przecież w polskim języku. Istnieje obawa, że jest to spuścizna po peerelowskiej krytyce i w związku ze starym systemem nie należy promować skandalistów.

Niektórzy nazywają Jerzego Kosińskiego mitomanem tylko dlatego, że był ubarwioną postacią i świadomie tworzył legendy na temat swojego doświadczenia. Z wielkim talentem i fantazją wymyślał swoje życie, tworzył swoje liczne fikcyjne życiorysy. Niemal do końca życia pozostał wierny zasadzie obudowywania swojej osoby opowieściami nieprawdziwymi, które częstokroć raz wypowiedziane stawały się faktami. Czynił to zarówno w kontaktach z innymi ludźmi, kiedy to kreował swój niepowtarzalny intelektualny i seksualny wizerunek, jak też w literaturze. Bujnemu rozkwitowi mitotwórstwa Kosińskiego sprzyjał jego wyjazd do Stanów Zjednoczonych, gdzie w nowym, nieznanym go środowisku, bez wielkiego ryzyka demaskacji mógł nie tylko snuć swoje opowieści i autobiografie, ale też wyślić od nowa całą swoją przeszłość. Do dziś biografowie i czytelnicy mogą jedynie spekulować, co do prawdy o autorze. Istnieje nie tylko wiele białych plam życiorysu Kosińskiego, ale też towarzysząca pisaniu o nim niepewność: jak odczytać prawdę od tego, co mówił o sobie i co mówili o nim inni. Każda próba szkicu jego życiorysu jest tylko kolejną, sfabularyzowaną opowieścią o człowieku, który w mniejszym lub większym stopniu wiodł wielowątkowe życie bohatera literackiego.

Lektura *Kariery Nikodema Dyzmy* okazała się drogowskazem gwarantującym oszałamiający sukces, barwne, zmienne, niepowtarzalne i nieprawdopodobne, pełne niedomówień i kontrowersji życie gwiazdy. Ameryka okazała się miejscem, gdzie mógł wyśnić swój amerykański sen o karierze jak z bajki śladem swojego ulubionego bohatera – Nikodema Dyzmy. Młot Dyzmy, który zrodził amerykańskiego pisarza, doprowadził go niespełna dwadzieścia lat później na skraj przepaści, a może nawet przywiódł do załamania jego kariery. Jego trzecią powieść „Wystarczy być” oskarżono o plagiat „Kariery Nikodema Dyzmy”. Kosiński był wtedy u szczytu, gdy skierowano w niego falę ataków.

W nocy 3 maja 1991 roku Jerzy Kosiński powiedział swojej ukochanej Urszuli Dudziak: *Jak się obudzę, zadzwonię do ciebie*. Zostawił też notkę, w której napisał cytowane wiele razy zdania: *Kładę się teraz do snu na trochę dłużej niż zwykle. Nazwijmy to wiecznością*. Prawdopodobnie zbierał wcześniej informacje, jaka metoda samobójstwa jest najmniej bolesna i najskuteczniejsza. Zatem szykował się na śmierć dość długo. Z dużą dawką alkoholu zmieszał dużą dawkę środków nasennych, rozebrał się, wszedł do wanny pełnej wody, a dla pewności założył na głowę torbę foliową. Rano żona Kiki znalazła go martwego.

Zarówno życie, twórczość, jak i śmierć tego niewątpliwie barwnego ptaka światowej literatury budzi wiele kontrowersji i sporów. Można, zatem doszukać się elementów autodestrukcyjnych, które pojawiały się w jego powieściach. Były one jakby wytluszczone czarną depresją, gdyż samobójstwo było jednym z tematów literackich przewijających się przez twórczość Kosińskiego.

Sława ma swoją cenę, wyzwała wścibstwo i zazdrość. Kosiński na świecie był okrzykiwany jako wielki łgarz, ale i wybitny pisarz, w Polsce uznawany jako *taki niewdzięczny Żyd niemający prawa oskarżać polskich chłopów, którzy uratowali życie jemu i jego rodzinie*. Wiadomo nie od dziś, że ludzka natura z trudem znosi cudze powodzenie, stąd różne spekulacje na temat jego talentu pisarskiego. Tworzył bardzo efekciarskie powieści zdobywając ogromną międzynarodową sławę, a mimo to został bardzo szybko zapomniany. Wiele jego powieści powstawało z głodu sukcesu. Metodę literacką Kosińskiego najlepiej widać w raczej kiepskiej powieści *Randka w ciemno*, gdzie bohaterem jest cynik, który manipuluje ludźmi i zdarzeniami – zdaje się, jakby Kosiński przeczytał napisane kilka lat wcześniej powieści Ireneusza Iredyńskiego *Dzień oszusta i Ukryty w słońcu*. Pełno w niej perwersyjnego seksu i elementów świata *glamour*. Kosiński pisał bogato okraszone perwersją baśnie dla dorosłych. Co zapewne wiąże się z życiem, które sam wiodł. *Seks był niesamowicie ważną częścią naszego związku. A nie ma nic piękniejszego od kombinacji: wielka miłość i genialny seks. On był miłością mojego życia, potrząsnął mną, zmienił mnie kompletnie. Byliśmy dla siebie stworzeni* – Urszula Dudziak o Kosińskim w jednym z wywiadów.

Został doceniony przez polskich czytelników dość późno, bo dopiero kiedy odniósł światowy sukces i kiedy dotarła wiadomość o jego śmierci. Czy w tym pięknym, lecz zaściankowym kraju, jakim jest Polska, trzeba skandalicznie wyciągnąć kopyta, żeby docenili twórcę? Niektórzy są zdania, że winna niedoceny i nieznaności jego pióra była cenzura PRL-u. Cóż... Obawiam się, że przez współcześnie rządzącą partię cenzura wróci do łask i ponownie zostanie rzucony zły czar na literacki rynek wydawniczy.

Magdalena Kapuścińska

Święty Florian

– fragment powieści „Nowe czasy”

Kotula od kilku dni był mocno zajęty, jeździł tu i tam, a to z zaproszeniami, a to z poleceniami, sprawdzał osobiście, czy wszystko zostało wykonane według jego poleceń i czy zaproszenia do ważniejszych osobistości zostały wysłane w terminie. Dzwonił też do kancelarii prezydenta, chcąc się upewnić, czy zaproszenie dotarło i czy już została podjęta w tej sprawie decyzja. Przypominał tym ciułom, że Wałęsa obiecał przecież wyjątkowo na tę uroczystość przyjechać. Było to co prawda już dawno, ale jeśli słowo się rzekło, to kobyła u płotu. Tak uważał, a jak nie to rozliczy nawet samego Wałęsę. On potrafi! Dzwonił kilka razy do kancelarii prezydenta, ale urzędnicy cały czas wypowiadali się dość wymijająco, trzymając go w niepewności. Wystano też zaproszenie do premiera, prymasa, nuncjusza, a także do biskupa Wiktorskiego i wszystkich znaczniejszych osobistości z województwa. Bo o miejscowych notabli, miedzianowskich, już nie dbał, gdyż był pewien, że zleca się jak psy do jatki, spodziewając się nie wiadomo kogo tu spotkać, a przy okazji komuś się podlizać lub coś załatwić dla siebie. Przewidywał, że w odstąpieniu pomnika św. Floriana weźmie udział co najmniej kilka tysięcy osób. Przynajmniej pierwsza zmiana. Zamówiono też dla podniesienia rangi uroczystości poczty sztandarowe z całego województwa.

Przeżywał to wszystko tak, jakby to nie patron stalowników, lecz on sam miał stanąć na piedestale i z góry patrzeć na wszystkich. Nie spał po nocach i gnębił się, czy wszystko zostało załatwione jak należy i czy zostało zapięte na ostatni guzik. Myśłami był tylko przy tej uroczystości.

Wreszcie nadeszła najważniejsza chwila, doniosły moment w jego życiu, na który czekał ponad dziesięć lat. Kiedy zawyła fabryczna syrena, ludzie zaczęli opuszczać swoje stanowiska pracy. Myli się, przebiegali i szli drogami zakładowymi w kierunku bramy wyjściowej. Kotula patrzył się i patrzył. Obliczał, że w tłumie idzie co najmniej kilka tysięcy osób. Masa! Za chwilę jego oblicze nagle posmutniało. Nie wierzył własnym oczom. Przetarł je kilka razy chusteczką. „Kurwa!” – krzyknął z wściekłością. Większość tych chłopków kierowała się nie pod pomnik, ale chyłkiem, jak złodzieje, szła w kierunku zajezdni samochodowej. Te chłopki-roztopki, jak wtedy na akademii pierwszomajowej, gdy krzyknął na widowni: *autobusy przyszyły!*, woleli wcześniej wrócić do domu niż zostać na odstąpieniu pomnika swego patrona. Pies im mordę lizał. To klęska, skończyła się nasza solidarnościowa rewolucja. To po to walczyliśmy o wolność, niepodległość, o demokrację, aby te chłopki mieli wszystko w dupie. Tak, tak. Przyzwyczaili się w Stalowni odwalić swoje i wracać do domu, by tam jeszcze popracować, jak to mówili, na

swoim. Im komunizm odpowiadał najbardziej. Stalownia gówno ich obchodziła, bo to była państwowa robota. Tu się można opierdalać. On, Władek Kotula, wzrostu słusznego i wagi ciężkiej, dryblas, chłop twardy jak stal, miał łzy w oczach. Po raz pierwszy od niepamiętnych lat zapłakał. „Na darmo walczyliśmy! – wyszeptał. – Na darmo!”

Pomnik liczący kilka metrów wysokości górował nad wszystkimi. Był piękny i dostojny, i kosztował – ho! ho! bagatelka – dwa miliardy złotych. Ale jakie miało to teraz znaczenie? Żadne. Obawiał się, że na następną uroczystość może przyjść jeszcze mniej. A może przyjdą już tylko ci najwierniejsi.

Zastanawiał się, dlaczego związek tracił coraz więcej zwolenników. Czy z powodu bezrobocia? Przecież nie było jeszcze tak tragicznie. W Stalowni nadal pracowało piętnaście tysięcy ludzi. Niskie zarobki? Przecież w Stalowni w porównaniu z innymi nie były wcale najgorsze. A w przeliczeniu na dolary 3-4 razy tyle co dawniej. W żadnym z dużych zakładów ludzie tyle nie zarabiali.

Wałęsa też nie przyjechał, choć wcześniej obiecywał, że do Miedzianej Woli, gdzie wbito ostatni gwóźdź do trumny komunizmowi, na pewno przyjedzie. I chuj! Nie przyjechał. To drugi zawód, który go dzisiaj spotkał. Premiera Solidarnościowego rządu także nie było. Przysłano jakichś podsekretarzy stanu, a więc same warszawskie gówno, byle co, barachło, asystentów co parasole i teczki za szefami nosili.

Nie interesowały go poczty sztandarowe, ani okolicznościowe przemówienia. On widział w dzisiejszej uroczystości prawdziwą klęskę. I nic nie mogło zmienić tej opinii. Patrzył na tę garstkę wiernych, na te tysiąc ludzi, którzy zechcieli jeszcze przyjść i żałować mu serce ścisłała. I to na piętnastotysięczny zakład. Gdzie w samym związku było blisko pięć tysięcy. O czym więc, kurwa, tu mówić. Tylko upić się z rozpacz.

Mirosław Osowski



Rys. Barbara Medajska

Zamyślenia



Dzienniczek perkusisty

Minął Dzień szczęścia, więc ja o szczęściu błądzenia, bo i takie bywa. Nie wiem dlaczego, ale zawsze interesowały mnie momenty jakichś przełomów w ludzkim życiu. Inaczej mówiąc, możliwości radykalnych, duchowych przemian różnych postaci. Moje zadziwienie – to zrozumiałe – stawiało pytanie: dlaczego bywają one tak nagłe, czasami wręcz gwałtowne? Czytałem wiele relacji tzw. nawróceń, chociaż jestem zdania, iż w gruncie rzeczy sprawy te są nieprzekazywalne. Dla kogoś z zewnątrz, w szczególności dla osób słabej wiary, nie są one nigdy dostatecznie umotywowane i przygotowane. Po prostu jest w tych relacjach czegoś za dużo i czegoś za mało wydawać się może, że skutek nie odpowiada sile przyczyny (Gustavu obilit Conradus natus est). Wewnętrzne narodziny dla Boga, dla wiary. Kawał czasu temu byłem na koncercie zespołu „Skaldowie” w kościele pw. św. Henryka w Kilonii. Wcześniej podobny kościelny koncert odbył się w Hamburgu. Tam i tu koncerty zgromadziły komplety widowni moich rodaków osiadłych w Niemczech. Rozeszły się wszystkie płytowe nagrania. Rozmawiałem z członkami zespołu, szczególnie zainteresował mnie perkusista – Jan Budziaszek. Powiedział mi wówczas, że pomodlić się śpiewem nie jest ich zasługą, jest to wielka łaska, za którą wciąż za mało dziękujemy. Oddawanie Bogu chwały staje się celem coraz większej ilości zespołów muzycznych. I dalej stwierdził, iż w ostatnich latach mass media sprawiły, że mówienie na forum publicznym o Bogu, stało się czymś wstydliwym, zaś artystów nakłania się, aby broń Boże nie podejmowali tego tematu. Koncerty w Niemczech w ten grudniowy czas nosiły tytuł: „Moje Betlejem”.

Budziaszek zastanawiał się, czy nasze pokolenie pozostawi po sobie jakieś nowe kołody. W jakiś czas potem kupiłem w antykwariacie jego „Dzienniczek perkusisty”. Dowiedziałem się od niego, że sztuka powinna być modlitwą. Myśmy tej kasety nie wymyślili, gdyż teksty oraz muzyka spłynęła na nas jak łaska. Sztuka winna być pożywieniem dla duszy.

Jan Budziaszek urodził się 21 listopada 1945 roku w Krakowie. Był znanym w środowisku jazzowo-estradowym perkusistą. Ze

„Skaldami” związał się od 1965 roku. Grał między innymi: z Tomaszem Stańką, Januszem Muniakiem, Jarosławem Śmietaną, także z Marylą Rodowicz i z grupą „Pod Budą”. Dzienniczek perkusisty jest historią nawrócenia autora. Śp. o. Jan Góra OP w słowie wstępnym napisał: *On nie mógłby inaczej. Perkusista Budziaszek zaprasza do różańca. Jego nie można skojarzyć z inną modlitwą. I jako perkusista się zbawi. On żyje grając całym sobą, tak samo się modli.*

Cóż, każdy z nas pragnąłby takiej rekomendacji. Budziaszek szukał Boga w wielu miejscach, w wielu różnych religiach. Dużo podróżował, spotykając najdziwniejszych ludzi. Był narkomanem, niepraktykującym katolikiem i buntownikiem. Jego przemiana zaczęła się w sierpniu 1984 roku, kiedy to zgłosił w swej parafii NMP z Lourdes w Krakowie, że może przenocować u siebie kilku pielgrzymów wyruszających z pielgrzymką krakowską do Częstochowy.



Rys. Kazimierz Ivosse

Jan Budziaszek

Powie: Ktoś namówił mnie abym poszedł na Wzgórze Wawelskie, abym uczestniczył w Mszy św. Później ten ktoś wyprowadził mnie z miasta, potem był ze mną w następnych etapach pielgrzymki i tak doszedłem na Jasną Górę. Bez niczego, w samym podkoszulku, bez szczerki do zębów. Gdyby mnie wówczas ktoś zapytał, dlaczego i po co szedłeś, nie umiałbym odpowiedzieć. Zaprowadziła mnie tam zapewne sama Maryja.

Moment przełomu, duchowe przemiany?... Cóż, być może jeszcze jedna relacja obok tych tysięcy, o których słyszymy. Pozostawmy tajemnicę tych nawróconych zawieszoną w próżni tego, co niewytłumaczalne. Wszystko, czego tu nie opowiedziałem o Janie Budziaszku, poszukajcie w jego dwutomowej publikacji książkowej...

Kazimierz Ivosse

Przerwane życie

Gdy otrzymałem książkę *Przerwane życie* od autorki **Bożeny Heleny Mazur-Nowak**, nie kwapiłem się do jej czytania, bo byłem nasycony wierszami tej poetki. Zresztą nie bardzo wierzyłem w to, że ta liryczna poetka, mieszkająca od lat w Anglii, może tworzyć znakomitą prozę. Jakże się myliłem! Jej nową książkę – zbiór dziewięciu, krótkich opowiadań – czytałem z rosnącym zacięciem. Każde z opisywanych zdarzeń kończy się tragiczną śmiercią bohaterki. Stąd zapewne tytuł książki.

Prostym językiem, w krótkich zdaniach – co jest mi bliskie – autorka literacko portretuje losy swoich bohaterek. Już pierwsze opowiadanie *Ania* skłania do głębokich refleksji nad naturą człowieka, nad jego ciemną stroną. Ania, wrażliwa dziewczyna, popełnia samobójstwo. Nie może pogodzić się z tym, że została zgwałcona. I mimo że mieszka razem z rodzicami, jej osamotnienie i cierpienie jest tak wielkie, iż odbiera sobie życie.

Agata, tytułowa bohaterka drugiego opowiadania, za namową koleżanki wyjeżdża na Zachód, aby podjąć pracę. Na miejscu okazuje się, że trafia do domu publicznego, w którym jest notorycznie gwałcona i w bestialski sposób zostaje zamordowana przez psychopatycznego klienta, a jej ciało zostaje zakopane w lesie. Bardzo poruszyła mnie scena, w której duch zamordowanej Agaty samotnie błąka się wśród drzew i próbuje nawiązać kontakt ze światem żywych. Sytuacja jest wyjątkowo dramatyczna, bo jej duch nie zdaje sobie sprawy z tego, że żyje w innym wymiarze, z którego nie ma powrotu do ludzi żywych.

Wanda to dziewiąte i ostatnie opowiadanie z tomu *Przerwane życie*. To smutna historia dojrzałej kobiety, która poszukuje prawdziwej miłości. Pomocy szuka w internecie. Tą drogą poznaje młodszego od siebie mężczyznę. Przeżywa szczęście, bo ów młodzieniec wydaje się tym, na kogo czeka. Ale jak to w życiu bywa, kochanek okazuje się oszustem i kłamcą, który nieumyślnie przyczynia się do śmierci tytułowej bohaterki.

Smutne opowiadania Bożeny Heleny Mazur-Nowak to ważna książka. Zasługuje na uwagę wrażliwego czytelnika. Ta proza wyrasta z naszej codzienności, bo o zdarzeniach o których pisze przejmująco autorka przytacza codziennej prasa i telewizja. Penetruje psychikę bohaterek, stany załamania i próby wyjścia z dramatycznych sytuacji. Niestety, te próby kończą się tragicznie. Czy bohaterki *Przerwanego życia* miały to zapisane w gwiazdach? Pesymizm przenika te opowiadania, bo wynika z nich, że z reguły nieprzychylnie sploty okoliczności dominują nad oczekiwaniem szczęścia i radości płynącej z naszego istnienia.

Jan Stępień

Kozetka (21)



Nowa Fala. Sokowirówka myśli. Nałóg kobieta.

*Dusza kobiety – dla mnie otwarta księga,
napisana w niezrozumiałym języku.*

Ephraim Kishon

Skąd się bierze pisanie, malowanie i każde inne „projektowanie rzeczywistości”? W tym projektowanie ubrań, sprzętów użytkowych, architektury i całego świata, który nas otacza?

Pisarze często tłumaczą swoje upodobanie do kontroli nad światem stwarzanym potrzebą wolności i potrzebą piękna.

Joanna Friedrich

Jeden z moich ulubionych napisał kiedyś, że naoglądał się już tyłu okropieństw, że chce stworzyć tylko piękno.

Marek Hłasko mawiał, że nie pisze się wprost o walce o wolność, w ten sposób zachowując ją w sobie.

Wydaje mi się, że to mniej więcej niesie z sobą Nowa Fala. Pierwsza Nowa Fala kojarzy się z literaturą lat 60. w Europie, a w Polsce dotyczyła głównie poezji.

Nowofalowcy nie wypracowali jednolitej poetyki, ale w ich twórczości daje się odnaleźć daje się odnaleźć powtarzające się elementy. Do najważniejszych z nich należało wykorzystywanie jako tworzywa poetyckiego „słowa cudzego” – zwrotów charakterystycznych dla języka gazet, pism

oficjalnych, ankiet urzędowych, języka ulicy. Poetów Nowej Fali nie tyle interesowały eksperymenty badające możliwości i ograniczenia języka jako takiego, co społeczne użycie mowy. Zniewolenie języka i brutalne nim manipulowanie odbierane było jako jeden z elementów ogólnego zniewolenia w tych czasach. Dlatego język stał się jednym z ważniejszych tematów twórczości nowofalowej, kluczowym elementem świata przedstawionego. Często tworzył ciąg skojarzeń z innymi słowami-kluczami. Niektórzy przedstawiciele tego nurtu publikowali wyłącznie w tzw. Drugim Obiegu.

Odpyły i przyłyły, to naturalne procesy kulturowe. Kultura ma więcej wspólnego z naturą, niż się powszechnie wydaje. Po prostu człowiek jest zwierzęciem społecznym i nic tego nie zmieni.

Nowa Fala w nowej odsłonie to fala w wersji 2.0 – bez współtwórców na różnych multimedialnych forach społecznych, byłaby niczym. Postrzeczliwość stwarza nowe rejony, gdzie działają nowe prawa.

Początkowo uznawana za swoisty drugi obieg, w najnowszych trendbookach stanowi pełnoprawną platformę komunikacji.

Podobno mężczyźni to proza życia, kobiety zaś – poezja. Przyznam że czasem czuję się jak poetka, ale bliżej mi do prozy. Co z tym fantem zrobić?



Czego wymagać od feministek, skoro same siebie określają słowem, które po łacinie oznaczało nie rozważne, szanowane kobiety (mulier), ale lekceważone i traktowane co najwyżej rozrywkowo kobietki, kobieciny i kobieciątka? (podaję za Izabellą Bukrabą-Rylską)

Czy bycie kobietą może wejść w nałóg? Dlaczego na tym poziomie rozwoju cywilizacji, ciągle podkreślamy różnice, zamiast szukać podobieństw? Kobiety są lepszymi aktorkami, to status quo ich walki o byt przez tysiąclecia.

Dlaczego więc muszę żyć w czasach, kiedy problematyka kobieca to nadal „kuchnia, moda, intrygi i miłość” – i piszę tu tylko o literaturze kobiecej.

Ok, kobieta, która jęczy w nocy, nie warczy w dzień.

Dlaczego jednak, nie możemy przejść do tego, jak do porządku dziennego, tylko zaczynamy wiecznie „wszystko od nowa”.

Dlaczego interesować się modą, chociaż pisarze i dziennikarze najczęściej mają komfort, że nie muszą stroić się do pracy. Może stroję się nadal, bo jeszcze nie uznałam siebie za stuprocentową osobę pióra?

Lubię przekorę, traktowanie lekko ciężkich tematów, a ciężko – lekkich. Może powstaje z tego kocia muzyka, a może koniec końców – wszystko jest tak samo ważne?

Dawno już zarzuciłam śledzenie każdej nowo wydrukowanej literki w tym kraju, jak i każdej nowej nuty i każdego nowego miejsca na lifestylowej mapie. Dorosłość sama w sobie jest jak myślodsiewnia. Kwestia indywidualna, jak ją (w) sobie ustawimy. Czasem wpadają mi w ręce „Wysokie Obcasy”, tak się stało i tym razem – znalazłam tu kilka wyznań literatów o modzie, ciekawy wywiad z Natalią Hatałską i najciekawszy tekst, Karoliny Sulej, o trendach w kontekście „największych światowych geniuszy modowych opowieści”. Czyli po prostu przyporządkowanie pisarzem i ich bohaterom kostiumografów wśród współczesnych projektantów – coś, co robię na domowy użytek codziennie.

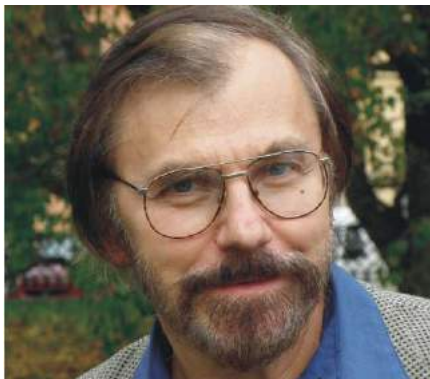
Z literatów bliżej znam tylko Krystynę Koftę, ale zainteresował mnie punkt widzenia Agnieszki Trotkiewicz i Roberta Rienta.

Mówiąc językiem nowej fali, Agnieszka Trotkiewicz jest zdania, że trzeba wychodzić ze swoich dziedzin sztuki i pływać w innych, poznawać inne alfabety. „Moda to także język” – pisze Trotkiewicz. „Fascynuje mnie kategoria bycia dobrze ubranym, jest w tym tajemnica. To genialność struktury, która emanuje. Strój jest tekstem, opowieścią. Moda zaspokaja potrzebę bezpieczeństwa. W modzie jest też bardzo dużo grafomanii, która chyba bierze się z pozornej łatwości, jak przy pisaniu... W ubraniu chyba najbardziej wzrusza mnie jego styczność z ciałem. To, co wydarza się w momencie przenikania się naszego ciała i ubrania, to dla mnie istota mody”.

Robert Rient zwraca uwagę na „męskie pióro”, które występuje w jego ulubionej książce „Orlando” Virginii Woolf – kobieta za nie chwyta, aby zamienić „kuchnię, modę, intrygi i miłość” na „miecz i smoki do pokonania, butelkę wódki, politykę i finanse”. „Orlando”, to opowieść o chwiejności pomiędzy płciami i tym, że strój służy wyłącznie zachowaniu pozorów męskości lub kobiecości (już widzę jej bohaterów ubranych przez Jeana Paula Gaultier!). To historia osoby, która zyskała wgląd w doświadczenia obu płci. „Moda to jeden z nielicznych światów, który dyscyplinuje raczej mężczyzn niż kobiety” – pisze Rient i cytuje Woolf: „Gdyby nosili te same stroje, możliwe, że i spojrzenie na świat mieliby to samo”. Co z tego wynikło dla Roberta Rienta? Pisząc swoją pierwszą, codziennie się przebierał i stało się to dla niego rytuałem przejścia.

Być może z powodu takich historii, moda, i człowiek w nią ubrany, są dla mnie studnią inspiracji.

Listy do Pani A. (106)



Gorzki ciężar wiedzy

Droga Pani!

Może świat nie całkiem zwariował, skoro i tym razem udało się Aleksandrowi Nawrockiemu zorganizować już XVII Światowy Dzień Poezji UNESCO. Można powiedzieć, że gdzie diabeł nie da rady, tam Nawrockiego pośle, a impreza odbędzie się z powodzeniem.

Zacząło się wszystko w Domu Polonii. Jak zwykle uroczyście, jak zwykle artystycznie. Najpierw przemówienia, wręczanie Stanisławowi Nyczajowi Złotego Pierścienia z Orłem od Wspólnoty Polskiej za wybitne działania na rzecz kultury i literatury. A potem czytanie wierszy poetów zagranicznych oraz część artystyczna.

Szczególnie podobały mi się występy Aleksandra Swirskiego z Białorusi oraz jego partnerki. Myślę, że i Pani się zachwyciła. Intuicyjnie czułem Pani obecność, nie tylko zresztą w Domu Polonii, ale i następnego dnia w Muzeum Literatury na oficjalnym otwarciu Festiwalu. Przyszło bardzo dużo młodzieży z różnych szkół, m.in. Liceum Jarosława Dąbrowskiego, z panią profesora Jadwigą Gaudasińską na czele. Ta szkoła od lat jest wierna Festiwalowi, a poeci bywają zapraszani do klas na spotkania. A więc młodzież, miłośnicy poezji oraz uczestnicy imprezy. Mogłem więc spotkać dawno niewidzianych kolegów, porozmawiać z Mirą Łukszą (która w tym roku otrzymała nagrodę Festiwalu), ucisnąć dłoń Benedykta Koziela, porozmawiać z Wiesławą Olbrych, Rachel Szancer i wspomnianym już wyżej Staszkiem Nyczajem, Aleksym Wróblem z Londynu, od którego dostałem zbiorzek wierszy „Widok przez brudną szybę”, Teresą Markiewicz, Aleksandrem Sokołowskim z Wilna... Można było powspominać dawne czasy, które obecnie wydają się nam lepsze. Strach pomyśleć o dzisiejszym najmłodszym pokoleniu, w jakich mogą żyć później czasach, skoro z pewnością obecne będą siłą rzeczy dla nich najlepsze – jak to zwykle bywa, kiedy patrzemy w okres młodości... Ale przysłowie mówi, że człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja.

Spotkanie w Muzeum Literatury otworzył, jak co roku, jego dyrektor i zarazem świetny poeta Jarosław Klejnocki, potem oddał głos Aleksandrowi Nawrockiemu, który przypomniał ideę tego Festiwalu i zaprezentował dwie antologie pod tytułem „Mosty”, gdzie w jednym tomie znaleźli się autorzy polscy i białoruscy, w drugim znaleźli się poeci polscy wraz z rosyjskimi. Książki te są dwujęzyczne. Było i czytanie wierszy, prezentacja uczestników, przerywniki muzyczne. Trudno mi to wszystko dokładnie opisywać, bo nie o tekst reporterski tu chodzi, ale o list, w którym staram się zapisać wybrane wrażenia.

Ukazał się także festiwalowy numer (121/122) „POEZJI Dzisiaj”. Polecam go Pani z dwóch powodów. Jest tam wiele materiałów festiwalowych, wierszy, artykułów, recenzji. Drugi powód to ten, że z racji mojego jubileuszu Aleksander Nawrocki zamieścił w nim recenzję „Spaceru do siebie”, pióra Elżbiety Musiał, a także wypowiedź-wspomnienie mojej starszej córki Małgorzaty. Bardzo wzruszające. Nie wiedziałem, że tak mnie postrzegają. Tekst opatrzonej jest pięknym, współczesnym zdjęciem. Zajrzy tam Pani?

Stale wszyscy podkreślali, że najważniejsze jest budowanie mostów pomiędzy narodami i kulturami. Więc je budowaliśmy, zwłaszcza podczas nieoficjalnych posiadów w „Literacie”. Nawet pewnych „wspólnych” elementów doszukaliśmy się w języku... hiszpańskim. Tylko jak mam to Pani napisać? No, dobrze. To w końcu po hiszpańsku. Tamtejsi kibice krzyczą na stadionach „hui, hui, hoira”, co znaczy tyle, co hip, hip, hura! To jeszcze nic. Holenderscy dżentelmeni mówią, gdy spotykają osoby płci obojga (inaczej byłiby uznani za źle wychowanych), „huiamera, huiaspera”, czyli dzień dobry, dobry wieczór, a zaś pozdrowienie ogólne „całodniowe” (bynajmniej nie kierowane wyłącznie do kotów) brzmi „huidach”. Gdybyśmy tak i my witali znajomych po hiszpańsku... Ale może warto spróbować, bo mosty budować trzeba! A poza tym zwroty te fonetycznie oddają cechy naszej rzeczywistości.

Niezależnie już od opisywanego wyżej Festiwalu byłem na spotkaniu poświęconym pamięci Piotra Kuncewicza w dziesiątą rocznicę śmierci tego wybitnego pisarza, erudyty, znawcy literatury, naszego prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w latach, o ile mnie pamięć nie myli, 1989-2003. Wspominali go bardzo ciepło, m.in.: Marek Wawrzekiewicz, Wacław Sadkowski, Janusz Termer, Irena Kuncewiczowa... Aldona Borowicz przeczytała swój świetny wiersz poświęcony pamięci Piotra.

Znałem Piotra dobrze. Zawsze imponował mi mądrością, spokojem, tolerancją. Przy nim topniały w człowieku niechęci, złość na otaczający świat; wszystko widziało się jakby w innym, lepszym świetle. Lubiłem przebywać w jego kręgu.

Skoro jesteśmy blisko wydarzeń literackich, to wspomnę Pani o spotkaniu z Urszulą Zajączkowską i jej poezją we Wrocławiu. Byłem pod wrażeniem. Świetne wiersze, znakomicie skonstruowane,

oszczędne i przez to bardzo ekspresyjne. Polecam Pani jej tom *minimum*, pięknie wydany w tym roku przez wydawnictwo „Warstwy”.

Zasłuchałem się w te wiersze tak, że w pewnym momencie mocniej oparłem się o stół, który przechylił się dosyć mocno, ale na szczęście się nie przewrócił. Dobrze, że siedząca przy tym samym stoliku poetka o imieniu Ina (imię to romantyczne przypominało mi aktorkę Inę Benitę, gwiazdę kina przedwojennego, które uwielbiam) zdążyła wypić kawę. Inaczej skończyłoby się kawowych dyngusem. Zdecydowanie mniej przyjemnym.

Dobrze, że możemy oderwać się choć trochę od zwariowanej, parszywej rzeczywistości, albo – mówiąc obiektywnie – od jej niektórych przejawów. Jest oto redagowane w domu wariatów piśmko fanatyków i ludzi niespełna rozumu o tytule „Swąda”, „Froncie” czy jakoś podobnie. Napisano tam swojego czasu, że kreskówki dla dzieci niosą niebываłe niebezpieczeństwo. Oto podejrzany piesek Reksio, z pewnością nie katolik, bo przyjaźni się na domiar złego z kogutem i kotem! Należy więc sympatycznego Reksia potępić, bo jest satanistą, na domiar złego psem, a wiadomo, że zwierzęta praw żadnych nie mają prawa mieć! Zabić sympatycznego Reksia, zniszczyć taśmy filmowe, wymazać gumką jego sylwetkę. To przecież zagraża państwu i religii! Co w tym kontekście powiedzieć o pewnym lilipucie mającym zapędy dyktatorskie? Też przyjaźnił się z kotem, powszechnie znanym. I w dodatku nieustająco ma kota do dziś. Święty czy diabeł? Jak Pani sądzi? Może istotnie „kandydat” na drewniane ołtarze...

To życie w permanentnej paranoi, a nie sympatyczny Reksio, prowadzi do wynaturzeń. Czytam w gazecie, że banda troglodytów zdewastowała Cmentarz Żołnierzy Radzieckich w Warszawie. Odkąd pamiętam, był to piękny park, dokąd chodziło się na spacer. Można było czuć się tam bezpiecznie, nikt niczego nie niszczył, nie przychodziło do głowy, by wypisywać głupstwa na tablicach i pomnikach. Dorosli spacerowicze, dzieci, młodzież – wszyscy zachowywali się z szacunkiem. Swobodnie, ale z umiarem i kulturą. A teraz mamy dobrą zmianę bez Reksia, amerykanizujemy się na potęgę, każdemu wszystko wolno, a szkoły i rodzice trzęsą się nad szczeniakami, które mają mieć swobodę, bo od nauki i dobrego wychowania garb im wyrośnie. I wyrósł, ale na rozumie.

W tym miejscu przypomnę Pani słowa zmarłej w zeszłym roku warszawskiej poetki Barbary Szafrąńskiej z wiersza „Cechy wspólne odchodzącego pokolenia”: *Dźwiganie ciężaru wiedzy – że świat wciąż psieje / a granica zupełnego spsienia jest blisko / więc chyba lepiej umrzeć przed jej przekroczeniem*. Ciężar tej wiedzy ciężarem, ale czy warto się tym aż tak przejmować? Tylko – jak się okazuje – literatura i stoicki spokój może nas ocalić. I tego spokoju życzyć Pani z całego serca –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Ostatni taki Europejczyk...

Kiedy odchodzą ludzie, których szanujemy i którzy są nam bliscy pozostaje ból i smutek. Trudno jednak pogodzić się z odejściem człowieka, który uważa, że najważniejsze ma jeszcze przed sobą. Pomimo choroby, Piotr Kuncewicz do końca pilnie pracował nad dziełem swojego życia – jak mawiał – miała to być nowa, zupełnie inna wersja Fausta. Właśnie mija dziesięć lat od jego śmierci.

Andrzej Dębowski

Piotra poznałem dwadzieścia lat temu, kiedy podpisywał mi legitymację członka Związku Literatów Polskich. Powiedział mi wtedy: – *Liczę na Ciebie. Dzisiaj trzeba stawiać na młodych* (sic!). Zdziwiłem się bardzo, bo trudno być młodym, kiedy ma się „czterdzieć” na karku, ale przyjąłem to za dobrą monetę. Tym bardziej, że przecież wcześniej czytałem jego książki, więc traktowałem go początkowo jako swoistego guru. Kolejne spotkania były już bardzo sympatyczne, choć może trochę nasycone lekko rwanymi dyskusjami: a to o literaturze, a to o polityce czy układzie społecznym w małych miasteczkach. To interesowało go najbardziej. Ciągłe wypytywał o naszych zelowskich Czechów: jak żyją, czy pielęgnują kulturę, czy Żelów jako miasto wielonarodowościowe ma jeszcze Żydów, a czy wiem, że jak mówimy Żelów, to przecież i Hulka-Laskowski, i Dedejus?... Był pełen wiary w to, że być może kiedyś opowie coś niesamowitego, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że przecież ciągle zadaje mi te same pytania...

Piotr często zachowywał się nietuzinkowo. Powtarzał mi, że wyobraża sobie mnie jako faceta stojącego na korytarzu ZLP trzymając jedną rękę w kieszeni, w drugiej

dzierząc papierosa. Zawsze pytał mnie, kiedy nauczę się palić, by po chwili zastanowienia łagodnym głosem powiedzieć: – *No tak przecież ty już nie palisz. Wyzbyłeś się tych swoich „okopowych” nawyków.* Jednak najdziwniej zachował się 10 lutego 2007 roku. Kiedy przed zebraniem sprawozdawczo-wyborczym w warszawskim oddziale ZLP stałem na korytarzu przy balkonie wychodzącym na Krakowskie Przedmieście, podszedł do mnie, wyciągnął z reklamówki *Historię masonerii* i powiedział: – *Bierz i nie mów, wiem, że ty ją przeczytasz...* Nie wiem, co miał na myśli, ale rzeczywiście przeczytałem ją, jak wszystko, co dostaję od ludzi... Z tego naszego – jak się okazało – ostatniego spotkania pozostała mi fotografia z Piotrem, zrobiona zresztą dość przypadkowo przez Kysię Konecką. Do dzisiaj zastanawiam się, po co Piotr to zrobił? Jaki miał cel? Wiem, że był masonem. Do wolnomularstwa został przyjęty w 1996 roku i do ostatnich tygodni był aktywnym członkiem loży Trzej Bracia oraz Sokrates. Na trzyletnią kadencję wielkiego mistrza wybrany został na konwencie WWP w 2004 roku. Uważał, że nowożytna formuła masonerii opiera się na sformułowanej w czasach Rewolucji Francuskiej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, sama zaś masoneria „jest szkołą bezkonfliktowego różnienia się”.



Fot. Krystyna Konecka

Z Piotrem Kuncewiczem w Domu Literatury w Warszawie

Do końca wierzył w to, że ustrój demokratyczny będzie łaskawszy dla kultury, tymczasem okazało się coś zupełnie innego. Mecenatek państwa praktycznie przestał istnieć, co uważał za wielki błąd. W jednym z wywiadów powiedział: *O ile za komuny pisarz mógł liczyć na stypendium co dwa lata, o tyle w wolnej Polsce nie może liczyć na nic, bo państwo ograniczyło stypendia dla ludzi pióra do ośmiu rocznie. Jednak do polityków powoli zaczyna docierać, że rynek mimo wszystko nie załatwia wszystkiego, a zwłaszcza spraw kultury.* Może właśnie dlatego ciągle mi powtarzał: – *No, Andrzej, jak tam twoja „Gazeta Kulturalna”? Bo tak między nami to trochę dziwne, że dają ci na nią pieniądze, skoro biblioteki, instytucje kultury, regionalne pisma literackie są bliskie kłęski* [tutaj śmiech Piotra]. *Mam nadzieję, że się nie gniewasz, bo to oczywiście żarty o rozkoszach kultury masowej, która znana jest od wieków, a dziś – niestety – dominuje w sposób szczególny. Straszny!...*

Do końca można było podziwiać walory

jego ducha i intelektu. Wierzył, że świat będzie lepszym tylko wtedy, kiedy ludzkość całkowicie podda się prawdziwemu rozumowi, kiedy człowiek będzie ponad wszelkimi podziębami. Łączył, wzmacniał, wzbogacał. Przebywanie z Nim i rozmowa były czystą przyjemnością. Do dzisiaj wspominał opowieści o jego działalności w opozycji, która jak mawiał: – *...jest dziś niesamowicie podejrzana, bo lewicowa. Przecież kto dzisiaj powołuje się na Kuronia czy Małachowskiego. Tak więc chwalcę się tym, mam przechłapanę i jako komunista, czerwony opozycjonista, mason, autor „Trybuny”, i honorowy prezes nieprawomyślnego Związku Literatów Polskich. Czy może być jeszcze gorzej?*

Bardzo dużo mówił o ogólnoswiatowej transformacji, jako o zjawisku absolutnie nieobliczalnym, która najprawdopodobniej doprowadzi do ogólnoswiatowego chaosu. Wbrew wszelkim sądom nie tęsknił za PRL-em. Często powtarzał, że kapitalizm to chaos, ale woli kapitalistyczny chaos, niż tamten układ, będący w każdym calu pod kontrolą. Z tego chaosu urodziła się jego świetna książka pt. „Legenda Europy”, rzecz o wątpliwościach, rewolucjach, błędach, rozumie, nauce i ideach.

Kochał tę swoją Europę ponad wszystko. W wywiadzie udzielonym Miłoszowi Kamilowi Monasterskiemu powiedział: *[...] – To Europa ostatecznie stworzyła filozofię, malarstwo, architekturę, choć miała też swoje ciemne wieki. Kościół średniowieczny odegrał fatalną rolę w rozwoju, był wielkim hamowniczym postępem, ale z drugiej strony Aleksander VI, chyba najbardziej zbrodniczy z papieży, poza tym, że mordował i uczestniczył w orgiach z własną córką, był zarazem dobrodziejem i fundatorem Kopernika. Za te dziwaczne sprzeczności też kocham Europę. I za wszystkie niezliczone wysiłki w celu ucłowieczenia człowieka. Za wspaniałą, także sakralną, sztukę, za literaturę, filozofię, muzykę, teatr.*

Twierdził, że każdy może stać się Europejczykiem, trzeba tylko odrzucić to, co w każdym z nas jest najgorsze, to, czego my sami się wstydzimy. Szansą Europy jest jej różnorodność i wielość. Mówił, że nawet barbarzyństwo można przekuć na wartości. Pewnie dlatego pisał nową wersję Fausta, wersję według Kuncewicza. Podobno miał to być Faust będący połączeniem Don Kichota, Don Juana, Hamleta i właśnie Fausta. Jego Faust miał ostro przeć do przodu, szukać horyzontów, zdobywać świat, nawet ten, który będzie się dźbiał po końcu świata.

Piotr Kuncewicz był Europejczykiem w każdym calu i za to należy mu się wielki szacunek, szczególnie w czasach, kiedy projektanci nowej Polski, ośmieszają Polskę w całej Europie. Dzisiaj, kiedy ponownie sięgam po jego książki, coraz częściej zastanawiam się kogo miałem przyjemność znać, z jak bezcennym świadectwem człowieczeństwa mieliśmy do czynienia. Tylko czy te ludzkie wartości dadzą się przełożyć na język Faustowskiego poglądu na świat? Dzisiaj wydaje się to jeszcze mało realne... ■

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (13)

(fragmenty)



Słowem, żeby funkcjonować dziś w obiegu jako poeta, trzeba być w miarę zamożnym człowiekiem. A co mają czynić poeci niezamożni? I tu dotykamy kolejnego paradoksu związanego z polityką kulturalną... albo też z jej brakiem... Corocznie rozpisanych jest w Polsce kilkaset konkursów na zestawy wierszy. Laureaci dostają nagrody i wyróżnienia. Honoraria otrzymują też jurorzy. Okazuje się, że pieniądze na to się znajdują, choć z konkursów niewiele wynika dla samych poetów i dla szerszego odbiorcy, bo najczęściej w imprezach finałowych biorą udział tylko organizatorzy kwitujący zaistnienie kolejnego konkursu, zwycięzcy oraz jurorzy. Żeby było śmieszniej, dodam, że wśród poetów wyodrębniła się grupka spryciarzy – zawodowców biorących udział w wielu konkursach. Wiersze konkursowe bywają często dobierane pod gusty jurorowi mają często charakter twórczości „na okoliczność”.

Tak zwani znani i uznani przez krytykę poeci średniego i starszego pokolenia, którzy chcą wydać swoje kolejne zbiory, nikogo nie obchodzą; duże wydawnictwa ich nie chcą, koncentrując się na prozie, publiczność powoli odzwyczajają się od czytania tomików, których w księgarniach i bibliotekach na lekarstwo; poeta zaczyna obracać się w próżni doskonalej...

Może należałoby uszczuplić budżet na konkursy na pojedyncze wiersze, a pieniądze oszczędzone z tego przeznaczyć na dotowanie najlepszych książek poetyckich zakwalifikowanych do druku w dużym, mającym dobrą dystrybucję wydawnictwie? Stworzyć komisję złożoną z wybitnych poetów i krytyków różnych pokoleń i opcji (powtarzam – różnych, żeby nie było „kolesiostwa”), którzy spośród nadesłanych maszynopisów wyłonią kilkanaście czy kilkadziesiąt najciekawszych, kwalifikując je do druku w jakiejś dajmy na to Narodowej Bibliotece czy Kolekcji Poetyckiej? Duże wydawnictwo, które otrzyma ministerialną dotację na wydanie książki, powinno zadbać o dobrą reklamę i rozprowadzanie.

Czy to, co piszę, jest tylko marzeniem świętej głowy? Dlaczego w kraju noblistów poetyckich, w kraju cenionych w świecie poetów i kilkudziesięciu salonów poetyckich Anny Dymnej (właśnie Dymna pokazała, ile jeden człowiek potrafi zrobić dla poezji, gdy tylko mu się „chce chcieć”) – żyjących autorów traktuje się na szczęblu rozpolitykowanych instytucji, wydawnictw i księgarni jako pariasów, a piękny nawyk czytania wierszy odsyła się beżmyślnie do lamusa?

...Po przeczytaniu powyższego naszła mnie refleksja, że i sami poeci po roku 1990 w pewnym stopniu są winni temu, że dali się zepchnąć do nisz, odwracając się plecami od zwykłych odbiorców. Tak skutecznie „podgryzali” korzenie tradycyjnego etosu poety, że w świadomości społecznej istniejemy dziś jako „eksperci” od spraw duperelnych.... Ale to temat do osobnego rozważenia...

Muza Zbigniewa Herberta

Spotkanie autorskie w Klubie „Strych” w Gdyni co prawda mało udane ze względu na „slamsowe” warunki, niemniej warto było odbyć pociągowy cross przez Polskę i znaleźć się na Wybrzeżu choćby po to, by zamoczyć palce w morzu i poznać smaki i uroki gościnności człowieka-orkiestry Krzysia Lesińskiego – byłego judoki, myśliwego, szefa firmy „Draco”, właściciela paru domów, bogatej kolekcji ikon, broni, obrazów, miłośnika kobiet, whisky i wspaniałych, różnobarwnych nalewek przynoszonych z piwnicy, a także obdarzonego talentem autora paru książek poetyckich. Tylu ludzi w jednym – to dziś zjawisko rzadkie, właściwie renesansowe! Dzięki niemu poznałem też panią M.M., właścicielkę galerii „Piękny Świat” w Gdańsku, która procesuje się z wdową po Zbigniewie Herbercie, gdyż wydała w 1990 roku wiersze i listy miłosne poety do pierwszej jego muzy. Kiedyś muza zakochała się w nim bez pamięci i rozwiodła z mężem, odchodząc od niego z córkami, poeta zaś po paru latach wyznał jej, że „zakochał się w innej, ale ją też będzie zawsze kochał”. Przez jakiś czas jeszcze – a chodzi tu o lata 50. – spotykali się sporadycznie i utrzymywali korespondencję, a potem muzie pozostały po ukochanym poecie tylko piękne, wzruszające, a niekiedy dramatyczne listy, przechowywane jak najdroższy skarb. Podała je do publikacji po jego śmierci i na krótko przed własnym zejściem z tego niezbyt życzliwego jej świata. Trochę się dziwił żonie poety, że tak jej zależy na wstrzymaniu dodruków książki. W końcu wyłania się z tych listów Herbert z ludzką twarzą i „jajami”, a nie tylko pomnikowy, nieugięty Pan Cogito, jak chcą go widzieć eunuchowaci krytycy i ideolodzy. Herbert mający swoje słabostki i grzechy, kochliwy, ba, piszący prawie jak Leśmian o „obcałowowaniu rączek i nóżek” – to obraz wart uwiecznienia. Pani Katarzyna miała poetę na własność i mogłaby – gdyby się wzniósł ponad zrozumiałą skądinąd zazdrość – zdobyć się na wielkoduszność wobec wcześniej-

szej muzy, która zapłaciła słono za romantyczne porywy.

Wydawczyni, pani M.M., czuje się dumna, iż uratowała listy, publikując je w książce, a ja mimowolnie ją w tym umacniam, przypominając, jaki los spotkał listy i dokumenty, które mogły „odbrzązować” obraz innego, romantycznego Wieszcza. Syn Mickiewicza, Władysław, zaraz po śmierci ojca dla „dobra Pamięci” ocenzurował je skutecznie, czyli po prostu zniszczył...

Cóż się nie robi dla (z) miłości! ? Dobrego i złego...

Ars Poetica

Irena Wyczółkowska, poetka, redaktorka opolskich „Stron”, gdzie publikuję „Listy z Krakowa”, przysłała mi recenzję z mojego „Tańca z Ziemią” wygłoszoną w Radiu Opole. Wyrywam z niej fragmenty dający znakomity wgląd nie tylko w moją kuchnię poetycką:

„Proces powstawania wiersza i na pewno wszystkich dzieł sztuki zawsze jest nieco tajemniczy i drwi sobie z wszelkich racjonalnych prób wyjaśniania, jak się to dzieje. Ale czytając wiersze Józefa Barana, wyobrażamy sobie, że mogłoby to wyglądać tak: uważna obserwacja dokonywana przez kogoś o czulej wrażliwości, moment olśnienia – jak nagle przebudzenie, jak chwila odzyskania świeżości widzenia rzeczy znanych, pospolitych – odkrycie związku między nami a otoczeniem i niemal mistyczne poczucie »całości istnienia«. No a potem nie lada harówka, aby ów widok szerszy od zwykłych doznań, to uogólnienie tego, co zazwyczaj bywa w życiu cząstkowe, wyraziście przekazać innym”.

Nie mogę się też oprzeć (o ludzka próżności!) przed zacytowaniem jeszcze jednego zdania: „Wiersze Barana przywracają poezji jej wysoki status Pięknej Niespodzianki, pochwały urody świata – i obrazu grozy i tragizmu istnienia”.

Z poglądami Ireny na temat kuchni poetyckiej korespondują słowa teoretyka zeń – Shunryu Suzuki. To, co mówi on o praktyce zeń, wydaje mi się adekwatne do tego, co myślę i ja – zgadzając się z Ireną – o sztuce poetyckiej:

„Mamy w Japonii wyrażenie »siosin« oznaczające »umysł początkującego«. Celem praktyki jest to, by zawsze utrzymywać umysł początkującego. Przypuśćmy, że tylko jeden raz śpiewacie sutrę Pradžnia Paramita. Możecie to robić bardzo dobrze. Lecz co się stanie, jeśli zaśpiewacie ją dwa, trzy, cztery lub więcej razy? Z łatwością możecie utracić wasze pierwotne ku niej nastawienie. To samo może się wam przydarzyć w innych praktykach zeń. Przez jakiś czas będziecie utrzymywać umysł początkującego. Jeśli jednak kontynuujecie praktykę przez rok, dwa, trzy lub więcej lat, to chociaż może się ona rozwinąć, będziecie narażeni na utratę, pierwotnego umysłu, który ma tak wielkie znaczenie.

cdn.

Wiwisekcja poety?

„Spacer do siebie” – to kolejny tomik **Stefana Jurkowskiego**, wydany z okazji 50-lecia debiutu poety związanego ze środowiskiem warszawskim. Autor debiutował bowiem w wieku 19 lat w roku 1967 na łamach „Kierunków”, a przez te 50 lat opublikował 17 tomów poezji. Jego dorobek artystyczny był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany: m.in. jest on laureatem Nagrody Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka za tom „Wysokie lato” (1976), Wielkiego Lauru Poezji XV Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogorza (2005), czy „Złotej Książki Wincentego Różańskiego” na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu za najlepszy tom roku 2012. Omawiany zbiór poezji stanowi natomiast ciekawą, choć ryzykowną próbę poety, skierowaną na własny byt artystyczny. Można wręcz przyjąć, że ten zabieg Jurkowskiego stanowi pewien wgląd w swoje zwroty biograficzne, związane z rozwojem jego horyzontu inspiracji twórczych, choć z ironią często konstatuje, że z perspektywy osobistego doświadczenia pisarskiego niewiele się ważnego zdarzyło, poza tym, że ciągle jego wierną kochanką pozostaje sama poezja.

„Spacer do siebie” poeta rozpoczyna stwierdzeniem, że w późnym wieku miłość staje się bachantką z ironiczną maską na twarzy. Nawiązując do Jarosława Iwaszkiewicza, Jurkowski stara się ukazać świat przez pryzmat wędrówki po nim, ale i zwrotami z obranej drogi ku sobie w różnych okresach własnego życia. Świat współczesny jest zatem dla poety czymś na kształt Pompejów, które żyją w cieniu wulkanu, do którego z bojaźnią zagląda dusza poety. Pochyla się nad „stuletnim listem” i ogląda w nim autora, który jakby komentuje proroczo naszą współczesność. Poeta czuje, że jego język jest ciągle rozdwojony, przypominający język węży, gdyż słowa zawsze prowadzą ludzi w przeciwstawnych kierunkach, choć najczęściej i nieoczekiwanie spotykają się w „jednym znaczeniu”. W utworze pt. „Względność” czytamy: *słowa rozdwojone / – język węży – / w dwie strony mówimy // do dwóch różnych światów / biegniemy // a one są tym samym // choć domy różne / inne słońca / wokół / gorejące krzaki / w każdym z nich / inny bóg // cokolwiek nazywamy – / nazywa się inaczej // na końcach / rozdwojonego języka.*

Kiedy skierowuje wzrok na siebie, widzi twarz, ale czuje za nią swój niebyt, z którego coraz trudniej powrócić do siebie i potrzebna staje się do pomocy inna osoba. Świat staje się również coraz bardziej nieuchwytny, a jego sens najlepiej widać w milczeniu i wpatrywaniu się „w oczy zwierzęcia”. Jurkowski uświadamia sobie, że zabiera z sobą wrażliwość na ten świat, w kreowany przez niego poetyckich obrazach. Próbuje go odnajdywać w fotografiach z lat młodości, by spróbować zrozumieć sens dorosłego istnienia, ale w ten sposób przerywa „most do początków sie-

bie”. Rzeczywistość przecież szybko się zmienia, ludzie zastępują innych ludzi, i trudno zrozumieć sens świata w tych wariabilistycznych konstelacjach. Z wiekiem problematyczna staje się dla niego jego osobista „samość”, a „drwina nieistnienia” zniewala jego pamięć. Traci przekonanie, że on i świat faktycznie istnieją. Przechodzi bowiem przez kolejne miasta i generacji ludzi „na wylot”. Powstają więc tzw. „wiersze nienapisane” sygnalizujące możliwość pełnej „wolności twórczej”, choć u jej podłoża prześwituje pustka istnienia. Ludzie i dekoracje ulegają wokół ciągłym zmianom, a świat rodzi się od nowa, zaś reminiscencja pamięci zdziwionemu poecie odpowiada: *(...) młody człowiek / (...) / wychodzi z czarnego tunelu // pomiędzy teraz a wtedy – –*.

Widać tu dobrze tę próbę uchwycenia owego wariabilizmu, w który wmieszany jest autor i który chce go bezpośrednio uchwycić w tej „wędrówce ku sobie”. Przechadzając się po „Alei platanowej” od początku świata aż do jego nieskończoności, poeta zauważa, że słowa teraz znaczą tyle samo co kiedyś. Słowa i ich konstelacje jednie tworzą „puste światy”, które wszystko zmieniają jakby w nieskończoność. Poeta uczestniczy więc w wielkim spektaklu unicestwiania kolejnych światów stworzonych przez innych artystów, a sam nieustannie czuje się „nienazwanym”, choć przez byt dotyka ogromnego, kreowanego przez literaturę wszechbycia. Z jego głębi dochodzi do niego wołanie, że jego powołanie to „bycie poetą zwalczającym” kolejne pustostwo o świecie i sobie. Zew ten momentami naładowany erotyzmem uprzytomnia mu również sens własnej twórczości wywołującej „płaczącą miłość” o sobie jako poecie. Śni o „łące” i „malinowym chruśniaku” Bolesława Leśmiana równocześnie czując gorset pętający jego słowne schematy poetyckie, ale i niewole „miejsca i czasu”, co uświadamia mu, że ten nasz świat mimo ton zapisanego papieru jest dalej nietrafnie nazwany.

Kiedy próbuje spoglądać w kosmiczne uniwersum, zarzucić tam jakąś sieć rozumiejących sens naszego istnienia w nim słów, szybko pojmuje, że zyliśmy i żyjemy w świecie tworząc wspólnoty, które budują dla naszego istnienia jedynie „wieczne dekoracje”. W tej kosmicznej perspektywie próbuje Jurkowski odnaleźć „beztroskie chwile”, które napełniają go jednak troską, bo szybko się orientuje, że „niewiele w nas nieśmiertelności”, a po śmierci prawie znikamy na zawsze wraz ze swymi ciałami, imionami, nazwiskami. Życie tak się układa, że ciągle i od nowa stajemy w początkach naszych światów, choć nasze miasta, ulice, domy i my sami jesteśmy tacy sami. Nasze zabiegi słowne – „słownienie” – daje nam złudzenie, że żadne „końce świata”, dziejące się wokół nas, nas samych nie dotyczą. Świat jest przesycony ludźmi, którzy wloką się za nami tłumnie – *jak wiersze które / umierają przed napisaniem / z przesytu – –*.

Właściwie metafizycznym doświadczeniem bycia poety w kosmosie jest dla niego jakiś „model inflacyjny”, który powoduje, że choć stoimy w miejscu, odpoczywamy po wyczerpującym dniu, nieustannie wydaje się

nam, że wszystko wokół nas dzieje się: że podróżujemy w nim „z prędkością światła”. Ciągłe jednak pozostajemy pod gwieździstą kopułą nieba na naszej, choć nieobiecanej, ale prawdziwej Ziemi. Cisza naszego kosmicznego istnienia jest jednak ciągle zatłoczona, ale jej gromobicie przepełnione krzykami jednie podkreśla naszą samotność. Podobnie jak poprzednie pokolenia czujemy się jak grymas „uśmiechającego się świata” do nas. Poetę ocalają w tym świecie słowa, które całe życie niesie na plecach jedynie po to, by przekazać je dalej innym. Jednak martwi go, że posługują się nimi inni, niemyślący, co pod znakiem zapytania stawia sens ocalenia poety, ale sądzi, że pisanie wierszy ma większą siłę niż rzucanie przed siebie słów, bo to one tworzą naszą współczesną „księgę Genesis”. Oazą ludzi jest bowiem tworzenie wspólnot z kropli przysłowiowego „deszczu” istnienia: one bowiem zapobiegają naszemu osamotnieniu, o którym nawet zapominają dzisiejsi bogowie i ślepe losy ludzi.

Choć poeta czuje się „bytem ranliwym” i nie lubi się pytać o przyczyny ludzkiego bólu istnienia. Widzi jednak ulgę w śmiechu, a nie w płaczu z naszych wyszukanych sposobów na istnienie od kolejnego początku, by „unicestwić kłamstwo nieistnienia”, wypisywane na urzędniczych, „chorych drogowskazach”, wyprowadzających „na bezdroża”. Przypomina, że często w naszej małości jest zawarta nasza wielkość, skutkująca zbliżaniem się do „milczącego piękna”, bo sami najlepiej znamy naszą miłość i łatwiej nam z nią żyć. Tą miłością dla poety jest – rzecz jasna – poezja, którą uwielbia tworzyć niezależnie i czuć się w jej szatach twórcą zupełnie wolnym po granice przysłowiowej apokalipsy. Jak robi się taką poezję chyba najlepiej opisuje Jurkowski w wierszu pt. „Miejsca” – pisząc: *widok z okna umiera / trafiony nieuważą / zamknięciem oczu / odwróceniem // widok z okna się rodzi / ten sam chociaż / zapowiada nową tajemnicę – / otwarcie oczu na // obraz / siadający niczym ptak / na parapecie.*

Z poezją bowiem jest tak, że rodzi się ona – sugeruje alegorycznie poeta – jak obraz malarski: między pędzlem a blejtramem, czyli między słowem a „nadzieją papieru”, by wyprowadzić artystę na „wiecznotrwałę” pola „zielonego pastwiska” egzystowania. Podsumowując te nasze rozważania o poezji Jurkowskiego nie trudno zauważyć, że pisząc, karmi się jednocześnie paradoksem własnego istnienia, bo zarówno tworzy i zarazem burzy, nie zamierza odpowiadać na żadne pytania: np. dlaczego? Sytuuje się względem świata jako obserwator jego nieustającego rozpadu, degradacji, ale i powstawania z niczego nowy alternatyw istnienia. Hołduje bowiem myśleniu przysłowiowych „religii księgi”, wedle którego zawsze na początku było słowo, które stawała się ciałem tylko po to, by ulec unicestwieniu.

To taki swoisty wariabilizm egzystencjalny, choć ciągle dotykający przysłowiowego „nicestwianego się bycia” kolejnych form bytów naszego świata, w którym poeta w duchu M. Heideggera i F. Hölderlina jakby uczestniczy, aż do momentu, w którym on i

(Dokończenie na stronie 18)

Wiwisekcja poety?

(Dokończenie ze strony 17)

jego świat „wyparują”, a więc powrócą do porządku nicości. Warto więc prześledzić ten logos jego uczuć i słów owocujących całą gamą różnorodnych wierszy sięgający podstaw naszego istnienia w świecie.

prof. Ignacy S. Fiut



Stefan Jurkowski, *Spacer do siebie*. Postłowie: Anna Maria Musz, Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2017, s. 64.

Z czeluści zapomnienia

Spazm / Spasm Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej to zbiór trzech opowiadań, pozornie zupełnie różnych, jednak mających wiele wspólnych elementów. Z pewnością łączy je osoba głównej bohaterki i zarazem narratorki opowiadań, Pani Eguckiej, oraz charakterystyczne dla autorki stosowanie UNCJAŁÓW w tekście. To jednak nie wszystkie podobieństwa. Jak we wszystkich opowieściach Elżbiety wątki czasu teraźniejszego i przeszłego przenikają się z osnową mistycznych zawirowań, tajemniczych postaci i nieprawdopodobnych zdarzeń, tworząc wielobarwny, niepowtarzalny arras literacki. A wszystko to przesycone jest gorącym patriotyzmem, tęsknotą za dawno minionym czasem prawdziwych szlacheckich domów,

arystokratycznych salonów i dobrych manier, za szaleństwem długich jedwabnych sukien dam i rycerskością panów, za rozmowami towarzyskimi prowadzonymi piękną, czystą polszczyzną.

W trzech opowiadaniach autorka przywołuje okrucieństwo drugiej wojny światowej, która na długo pozostawiła bolesne rany i blizny w duszach ludzi. Którym udało się ją przeżyć. Przypominana o wojennych zniszczeniach, których naprawa wymagała wielu wyrzeczeń. Mówi też o bezlitosnym czasie, który biegnie nieprzerwanie, bezlitośnie zamieniając w końcu wszystko w szary proch.

Pierwsze z opowiadań, *Polskie zombi*, ukazuje polskich lotników, oddających życie w walce o Anglię, oraz tych ocalałych, lecz nieumiejących się już odnaleźć w późniejszej rzeczywistości. Piętnuje krótką pamięć narodu, który zapomniał o bohaterskich czynach polskich żołnierzy, który pogrzebał ich w mroku niepamięci, aż stali się nierzeczywistymi zjawami mającymi gdzieś tam na skraju świadomości. Symboliczny, ocalały z wojennej zawieruchy mechanik samolotowy legendarnego Dywizjonu 303 błąka się jak widmo po długich korytarzach budynku, puka do drzwi mieszkańców i szuka kogoś, kto pamięta, kto przywróci mu wiarę w sens tamtej walki, w sens cierpień i śmierci polskich bojowników.

W drugim opowiadaniu, *Chryzanthem* i *siedem zaduszonych myszy* autorka próbuje oswoić upływający czas, powrócić do lat szczęśliwego dzieciństwa. Cytuje słowa Apollinaire'a: „Dni, czasu myszy żwawe, powoli żywot mój niszczy” i szarość myszy kojarzy się jej nie tylko z czasem, ale także z portretem Olgi Boznańskiej *Dziewczynka z chryzantemami*, nazywanym także *Chryzanthem*. Identyfikuje się z tą bladą, smutną dziewczynką, szarą jak mysz i jak czas. Wraca myślami do okresu odbudowy zniszczonego wojną kraju, okresu głodu i ciężkiej pracy, kiedy wszyscy zgodnie starali się podnieść z ruin i doprowadzić do zamożności wspólny dom, jakim była ówczesna Polska. Próbuje udowodnić, że ani czas, ani niedostatek nie mogą zniszczyć człowieczego ducha, pragnienia piękna i dobra, nie mogą stłamsić talentu.

Trzecie opowiadanie to *Pandemonium B*, wstrząsający obraz wojennej pożogi, nalotów niemieckich bombowców, wielkich ucieczek i tułaczek polskiej ludności oraz zbierającej żniwo kościstej śmierci. Dziewczyna uciekająca do lasu przed kulami snajpera, przewrócone wozy z dobytkiem, parujące strumienie szkarłatnej krwi i porozwieszane na gałęziach drzew końskie wnętrzności to przerażające pejzaże, wykreowane przez szalonego pacykarza z czarnym wąsikiem, nazywanego w książce Istnym. Tym straszliwym retrospekcjom przeciwstawia autorka obrazy wielkiego malarza Zdzisława Beksińskiego, który w swych mrocznych dziełach upamiętnił nie tylko umierającego człowieka, ale także wiernego towarzysza ginących ludzi, zamordowanego bestialsko konia. Niosący na grzbiecie śmierć, osnuty dymem zgłiszcz wierzchowiec stał się dzięki Beksińskiemu nieśmiertelny.

Książka Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej *Spazm* to hołd złożony poległym i poszkodowanym w czasie działań wojennych oraz przypomnienie wartości, które powinny być zawsze obecne w naszym życiu.

Kalina Izabela Ziola

Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska, *Spazm / Spasm*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2016, s. 104.

Wiara poety

Sonet dla Boga – to kolejny tomik **Marika Jerzego Stępnia** stanowiący zbiór utworów tworzących większą całość, a nawet poemat, w których autor próbuje ukazać osobiste rozumienie bytu bożego, ale i jego związku ze światem zmysłowym, jak również z jednostkowym bytem człowieka, którym jest sam poeta. W *Prologu* otwierającym ten poemat dowiadujemy się, że (...) *jesteś dla nas przyprzywem harmonii i wdzięku. / Przenikasz kruche ciała aż do komórki serca. / W zasmucenie i leki promiennością wrastasz. // Umysł drga i snuje świetliste kobierce, / Muzyczne ogrody, kryształowe miasta – / Twoje ścieżki prowadzą ku wyżynom piękna.*

Nie trudno zauważyć, że owo totalne doświadczenie świata transcendentnego względem autora jakby poruszało „komórkę jego serca”, może to metafora żywcem wzięta z doświadczenia związanego z komórką telefoniczną, odsyłając go ku owemu metafizycznemu światu, w którym rządzi platońsko-plotyńska idea Piękna i Dobra, która „dla wszystkiego jest przyczyną wszystkiego”, ukazując w świecie i człowieku doświadczenie doskonałości tej wszechogarniającej całości. W takiej perspektywie oglądu i przeżywania swej obecności w świecie. Życie dla poety to droga „ku górze” w otoczeniu padole codziennych trosk, bólu i cierpienia, dla których antidotum i pocieszenie znajdujemy w pięknie świata przyrody odsyłającej ku Wszechmogącemu. Ciepło słońca, podobnie jak u starożytnych Egipcjan, pomaga pocieć kroczyć „ścieżkami życia”, choć ciągle rodzą się w nim wątpliwości czy Bóg go dostrzeże w anonimowym tłumie. Wątpliwość ta rodzi więc szereg pragnień i chęć nawiązania dialogu z tym Najwyższym, co wyraża taka oto fraza w kolejnej części poematu: (...) *Trwa dialog nieustanny między mną a Tobą: Wieczorem, popołudniem, w pełni dnia, o świecie / Wypełniając godziny słowem i dźwiękiem // Czasem staje się struną rozpiętą na lęku, / A niekiedy ogrodem i szczęśliwym życiem, / Gdy czuję w głębi serca, że jesteś Osobą.*

Tak więc byt boży w doznaniach poety ulega personifikacji stając się jednocześnie widomym respondentem autora w języku, który jest opisywane piękno doświadczanego świata. W takim kontemplatywnym usu-

tuowaniu poznawczo-bytowym Stępień może więc odczuwać ten głęboki dialog, który schodzi do podłoża jego języka poetyckiego ożywianego emocjami wynikającymi z głębokiego przeżywania swej osobistej wiary zapośredniczone doświadczeniem empirycznym przyrody.

Przy tych głębokich transformacjach emocjonalno-poznawczych poeta odkrywa wewnętrzną, bolesną zadkę, czyli poczucie winy „egoistycznego istnienia”, stanowiącego przyczynę rozpadu więzów miłosnych skutkujących upadkiem godności jednostkowej i zbiorowej ludzi, która nie jest mu obca, a która pojawia się wtedy, gdy człowiek stara się zastąpić Boga swym istnieniem.

W kolejnej części poematu pisze więc: (...) *Czas bez pieśni i życia zalega za progiem. / Zamiast arii i sonat pospieszne dudnienie: / Człowiek bity jak bęben przez pałki sumienia. // Za to, że pozostawił dla siebie bycie bogiem, / Wciąż zanurza się w rzeczy zachłannym jeziorze – / A ono się rozlewa i staje się morzem.*

Podobnie jak św. Augustyn czyni szereg wyznań w formie pieśni, w który poddaje się „woli bożej” i kieruje się „kompasem sumienia” w przysłowiowych wodach życia. Marząc o wieczności całą swą drogę życia chce podporządkować wyzwaniom, jakie na niej stawia mu Stwórca, zaś w kolejnym fragmencie poematu deklaruje: (...) *Ja człowiek nienajlepszy, nie gorszy od innych / Idę wąziutką ścieżką u schyłku jesieni. / Jeszcze mogą upaść, w labirynt ją zmienić – / Podążając ku chwale okazać się winnym. // Lecz nie pragnę niczego poza Twoją wolą, / Niech spełni się we mnie niesionym przestaniem / Do ludzi zagubionych w płaczu ciemnych dolin. // A czy ją wypełnię – wiesz najlepiej Panie, / Który oświetlasz wieże kryształowych miast / Na gruzach naszych marzeń, sięgających gwiazd.*

Stępień nie akceptuje zasad, którymi rządzi się świat współczesny, w którym rządzi gwałt, wojna i przemoc, i nie nienasycone pragnienia ludzi, podsycane złą i fałszywą pamięcią. Nawołuje do szacunku dla życia na naszej Ziemi, która jawi mu się jako naturalna świątynia, winna szacunku i uwielbienia. Źródło zła widzi w rozbuchoch konsumpcji i w kolejnej części poematu pisze: (...) *Zatrute ziarno i oczekiwanie / Na zew konsumpcji utrudzonych pracą. / Oni najwięcej z pereł ducha tracą. / Życie w rodzinie staje się wyzwaniem. // Jak im dopomóc, kiedy wiatr się wzmaga. / Mielą wartości szybkie młyny grzechu. / Odsetki losu łkają w pośpiechu / Ci, którzy stare odkurzają flagi. / Wskaż im, mój Boże, jakiś kąt na ziemi, / Zwiąż niegodziwcom drapieżne ramiona, / Daj politykom moc naprawy świata. // Niech chciwość wypełni do jaskini cieni / I już nie będzie chwałą obdarzona – / Zatrutym ziarnem kwitnącego lata. (...)*

Choć te szczerze lamenty poety są szlachetne i mają na uwadze dążenie do poprawy kondycji współczesnego człowieka, trudno jednak liczyć, by stało się to za sprawą polityków, którzy rządzą się „zwierzęcą solidarnością”, która musi mieć zaw-

sze swoje ofiary. Poeta wydaje się rozumieć ten stan rzeczy i zachęca do studiów nad pięknem i mądrością przyrody, dalekiej od zachowań tłum kruchty przykościelnej, co najbardziej efektywnie zbliża go do Boga. Poecie marzy się, by w końcu powstał „Boży Kościół na Ziemi”, oczekujący przebaczenia ogromu grzechów ciążyących na człowieku, który nawet w wierze religijnej ukazuje nierzadko swój złowieszczy egoizm egzystencjalny.

Prawie równocześnie z poprzednim tomikiem ukazał się kolejny zbiór wierszy Stępnia, noszący tytuł – *U podnóża odwiecznej góry*. Klimat umieszczonych w nim wierszy stanowi emocjonalną kontynuację motywów oraz inspiracji twórczych poety, do których należy przede wszystkim podziw dla piękna przyrody, szczególnie okolic Limanowej, w której zamieszkuje i obcuje z tym światem natury na co dzień. U głębokiego podłoża inspiracji poety można również odnaleźć troskę o los i kondycję człowieka, które stają się obecnie dla niego coraz bardziej niewiadome. Autor usadawia się u „podnóża” owej „odwiecznej góry” i emocjonalnie obserwuje z tej perspektywy świat przyrody: ogrody, lasy, łąki, strumienie, ale i wioski, małe miasteczka połączone traktami komunikacyjnymi. Mentalnie zanurza się w ten świat, płynie z nim zgodnie z rytmem codzienności, ale i następujących po sobie pór roku.

W wierszu bez tytułu tak opisuje owo widzenie podnóża: *Brzozy zielenieją z wigoru / las budzi się po zimie / przemiana zapowiedzi radości // Nad przełęczą zawieszony obłok / szczyty pochylają się nad milczeniem // Wsie w dolinie usypiają / pomniejszone odległością i ciszą / parują łąki i bezdroża / obieg wody prowadzi // Podążam za jej strumieniami / przenosząc żalobne wspomnienia / w wieńcach wiosennych kwiatów // (...) Trzeba mi więcej czasu / na dotarcie do ścieżek przemiany.*

Przemijanie, doświadczenie upływającego czasu, odsyłają poetę do podglebia bytowego świata, gdzie odkrywa, że tak naprawdę nic w świecie nie ginie, ale tylko ulega przemianom, w wielkim „kole życia”, które podpowiada, iż wszystko to wraz z nami uczestniczy w wieczności, zaś „taniec życia” jest jakby jej wyrazem. Autor jednak wieszczy koniec tego naszego świata, pokazując znaki tego wydarzenia, ale i przypomina, że historia naszego świata to również i dzieje jego katastrof. Ludzka ignorancja jest zapewne jednym ze źródeł katastrof, a poeta z żalem pisze wiersz o tym oznajmujący, choć ma świadomość, iż jego odezwa takiej katastrofie nie może skutecznie zapobiec. Ludzkie życie zapomniało o przebaczeniu i wyrozumiałości, i dlatego staje się ulotne. Nawet słowa tak już osamotniały, że trudno poecie budować z nich przekonywujące wiersze. Człowiek staje się coraz bardziej nomadą, a jego istota gatunkowa tkwi w „pamięci zbiorowej” ludzi, która również ulega rozkładowi, a w konsekwencji z ludzi i samych poetów odpływają „fale niepamięci” i trudno przewidywać, czy będzie żył wiecznie, kiedy utraci

własne wspomnienia. Taka sytuacja mentalna popycha Stępnia w wir wariabilizmu przyrody, gdzie wszystko łączy się ze wszystkim, a poeta sądzi, że w ten sposób i on będzie mógł dotrzeć do jakiejś „kosmicznej pamięci”, by odzyskać w niej własną tożsamość i domostwo bytowania. Najszczęśliwiej czuje się właśnie we własnym domu, kiedy „z góry” obserwuje świat i wtedy uświadamia sobie, że w porządku doczesnym niczego mu już nie brakuje. Wtedy próbuje wierszami wychylać się ku wieczności; ku światu „przebudzonego Boga”.

W kolejnym wierszu bez tytułu oznajmia: (...) *Krajobraz złotej jesieni / pięknieje aż do bólu / Wzgórza, domy i ludzie / w objęciach falujących dni // Odkrywam warstwę po warstwie / urodę stworzonego świata / w mojej głowie narasta pieśń / jaką obdarza nas Istnienie.*

W takiej sytuacji uzyskanego „stoickiego spokoju” poeta już o nic nie walczy, bo wie, że wieczność jest udziałem wszystkiego, a więc i jego istnienia. Tomik kończy pieśń pochwalna dla istnienia, a w utworze bez tytułu autor deklaruje: *Dzień po dniu w zieleni brodzi / zapisuje chwil odbicia / na niteczkach kruchych listków // Taka radość nie przebywa / w codzienności szybkim wirze / który wciąga i pochłania // (...) Słowa dawno zapomniane / opisują piękny ranek / jako przyptływ śpiewnej fali // Dzień po dniu w promieniach.*

prof. Ignacy S. Fiut



Marek J. Stępień, *Sonetny dla Boga*. Redakcja: Marek Jerzy Stępień. Projekt okładki: Krystyna Stępień. Wydawca: Marek Jerzy Stępień, Limanowa 2016, s. 46.

Marek J. Stępień, *U podnóża odwiecznej góry*. Redakcja: Marek Jerzy Stępień. Projekt okładki: Krystyna Stępień. Wydawca: Marek Jerzy Stępień, Limanowa 2016, s. 58.

Błyski



Nie wiedziałem, że odchodzisz

Jerzy Fryckowski stworzył pewien bardzo osobny i charakterystyczny model pisania o miłości. To poezja odważna, z użyciem namacalnych, sensualnych określeń, konkretna, ale też niepozbawiona patosu. Czuła i mocna. Taka, którą trudno się nie zachwycić i nie wzruszyć.

Anna Dominiak

Poświęcony tragicznie zmarłej przyjaciółce poety najnowszy tom jest książką szczególnie ważną w dorobku twórcy z Dębnicy Kaszubskiej. Pracował nad nią kilka lat, a czas, który upłynął od opisanego tu dramatu na pewno pozwolił mu nie tylko znaleźć dystans, ale też odpowiednią formułę do zapisania tego dokumentu cierpienia, w którym zdumiewa odwagą opisu doświadczeń tak bardzo przecież bolesnych i intymnych. Niewielu twórcom udaje się przeżycia tej miary przekuć na sztukę, która z takim wyczuciem dozjuje poetyckie efekty, nie gubiąc przy tym przejmującego przesłania.

Ta książka może być odczytywana jako próba zmierzenia się ze śmiercią kochanej kobiety, pragnienie utrwalenia jej wizerunku, zapisania czasu, który nie powróci. Warto podkreślić odważny pomysł umieszczenia zdjęcia bohaterki na zaprojektowanej przez Romana Tomaszewskiego, intrygująco nawiązującej do estetyki kiczu, nieszablonej okładce. Uderzająca w jej kontekście jest tu dedykacja: *Pamięci Ewy Połomskiej*. Inskrypcja niepozostawiająca wątpliwości, że właśnie otwieramy miłosne epicedium.

Okazuje się po raz kolejny, że życie potrafi wyjść poza biologiczne trwanie, wkraczając w rzeczywistość literacką. Można się oczywiście zastanawiać, na ile książka ta jest konfesją, a na ile konwencją, bo uważne wczytanie we wcześniejsze wiersze Fryckowskiego nakazuje zachować ostrożność i

nie utożsamiać pochopnie poety z podmiotem (choć kontekst biograficzny jest w tych tekstach bardzo wyraźny). Wiele jego wcześniejszych utworów jest przecież stylizacją, kunsztownie wykonanym obrazem poetyckim. Jednak tu nie odnosimy wrażenia, by przedstawione obrazy miłosne stanowiły inscenizację, a opisane przeżycia były tylko przeżyciami literackimi. Zbyt prawdziwie to wszystko brzmi, zbyt wiele przesłanek utwierdza w przekonaniu, że opisana historia wydarzyła się realnie, a nie tylko w wyobraźni poety. Dokładnie określono tu topografię zdarzeń, padają nazwy miejsc (Płock, Poznań, Nowy Dwór, Kórnik), daty, do których odnosi poeta przeżyta historię. Fryckowski poraża szczerością i odwagą w mówieniu o tym:

Stegna dosypia uroczyste zakończenie lipca (...)

Pogrzeb Ewy jest o jedenastej

(„Ostatnie śniadanie”)

W zgromadzonych tu wierszach przenikają się trzy tonacje: miłosna, wspomnieniowa i funeralna, które posłużyły poecie do zrekonstruowania tragicznie przerwanej historii niezwykle intensywnego uczucia. Uderzyło ono dwoje ludzi dojrzałych, znających się od czasów licealnej młodości, którzy odnaleźli się po latach. To odnalezienie nie jest jednak wspomniane przez podmiot z sentymentem. Budzi raczej, z perspektywy dnia śmierci i czasu, który nastąpił później, uczucia dwubiegunowe:

*przeklinam peron na którym spotkałem Cię po latach wschodniej niewoli
a już po chwili drzę i modłę się o Twoje zdrowie
w przydrożnych kapliczkach*

(„Zanim zapomnisz”)

Takie amplitudy emocji będą naznaczać tę ukradkową, bezdomną miłość *pary zbiegów* ukrywających się przed światem i zmuszonych do *udawania życia*.

Kontekst tego uczucia implikuje scenę zdarzeń (zresztą w takich dekoracjach Fryckowski często umieszczał przestrzeń liryczną swoich wierszy). To dworce, niepozorne pokoje hotelowe, betonowe tunele, asfalt, w którym zamieszkała ślad jej stopy – wszystko to, potęgując cieleśnie odczuwaną pustkę, doprowadza do granicy szaleństwa. Są momenty, w których poeta odsłania swój ból, ale też chwile, gdy próbuje powściągnąć język. To naturalne w procesie żałoby. Jak Orfeusz zdaje się błąkać po wspólnie zwiedzonych miejscach w poszukiwaniu straty. Materialne ślady nie dają się unicestwić i nie można ich oderwać od skojarzeń z Ewą, jej sensualnym, zapisanym w pamięci zmysłów wizerunkiem. Wspomnienie zapachu jej skóry stało się jak DNA, niezbywalne. Czas, wbrew powszechnie przyjętym przekonaniom, nie wydaje się tu być czynnikiem łagodzącym:

*Ich czerwień to pierwszy wstyd dotkniętej dłoni
zwieńczenie ud wypite do dna*

(„Rok i dzień później”)

Jak widać, Fryckowski wprowadza w najbardziej intymne obszary miłosnej relacji, a poetyka w tekstach dotykających fizycznego aspektu, uderza maestrią i wyrafinowaniem. Warto przy tym podkreślić, że jego metaforyka nie jest hermetyczna, Fryckowski pozostaje poetą czytelnym, nigdy nie buduje komunikacyjnych barier.

Potrafi przy tym odzwyknąć realia, wysublimować z nich pierwiastki cudu, jawiąc się przy tym jako poeta wyjątkowo wrażliwy na iluminacje. Często w opowiedzianej tu historii przecucie metafizyki rodzi się z kontemplacji konkretnego, a cielesności wchodzi w wymiar eteru. W zarejestrowanych wspomnieniach dostrzega nierzadko sensory symboliczne i prefigurację mającego nastąpić dramatu:

*Zamek obok i arboretum
drzewo z korzeniami ku niebu
tam teraz Ty*

(„Kórnik. Ostatni spacer”)

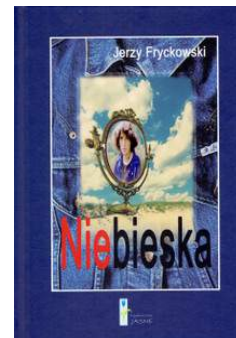
lub

*w miękkim asfalcie ślad stopy
nie wiedziałem
że stąd tak blisko do nieba*

(„Poznań. Dworzec PKP”)

Autor „Niebieskiej” swoim wierszom często nadaje kontury rytmu, jego fraza klasycyzuje, jednak nie sprawia wrażenia anachronicznej koturnowości. Język, którym opisuje swoje doświadczenie utraty, bazuje na swoistej idiomatyce, jest to styl rozpoznawalny, ze skłonnością do zastosowania określonych, niekiedy archetypicznych motywów.

„Niebieską” można określić nie tylko mianem erotycznego poematu funeralnego. To jednocześnie rodzaj lirycznego reportażu, w którym fakty przeplatają się z przejmującym opisem przeżyć. Jednak takie jednoaspektowe odczytanie tomu stanowi duże uproszczenie. Niebieska to centralne doświadczenie egzystencjalne, historia, która podzieliła życie na dwie ery. A może jest figurą maskująca jakieś pragnienie? Syntezą kobiecego pierwiastka? Tęsknotą za ideałem? Umierając w życiu, zapisuje się w pieśni. Nie bez powodu określa ją poeta nazwą barwy, której transcendentne konotacje są oczywiste. I mimo że realny związek z nią nie trwał długo, stała się dla poety lustrem rejestrującym wpływ czasu. Niebieska to mit i constans w życiu podmiotu. I choć została tu skonkretyzowana i ucieleśniona, można ją czytać na wiele sposobów.



Jerzy Fryckowski, „Niebieska”, Wydawnictwo Jasne, Pruszcz Gdański 2016, s. 51.

Filozofia codziennosci (126)



Nieporozumieniem jest utożsamianie wartości chrześcijańskich z wartościami ogólnoludzkimi. Innym, niebezpiecznym w skutkach sposobem manipulowania świadomością jest, na przykład, zaszczerpienie w procesach edukacji pogląd o liberalizmie ekonomicznym jako rzekomo koniecznym i najlepszym sposobie rozwiązania spraw gospodarczych. Z liberalizmu ekonomicznego rzekomo ma wynikać automatycznie liberalizm światopoglądowy, liberalizm prawny, liberalizm polityczny oraz liberalizm obyczajowy. Mącenie świadomości umacnia polityka historyczna oraz szerzony pogląd, że są dwie możliwe tylko drogi: albo liberalizm ekonomiczny, albo powrót do PRL.

O modelu europejskiej edukacji, wolnej od uprzedzeń i nasyconej odniesieniem do ideałów, pisał Mikołaj Kozakiewicz w swoich książkach. Wiąże się z tym niezbędność podniesienia w społeczeństwie prestiżu pedagogów. Należy budzić rozumienie tego, że życie społeczeństwa w państwie demokratycznym zależy od stanu świadomości jednostek, które mają na nie wpływ. Wskazuje to jednoznacznie na znaczenie edukacji. Od obecnie żyjącego pokolenia i zarazem od stanu edukacji zależy teraźniejszość i przyszłość. Pisząc o edukacji trzeba brać pod uwagę jej szkolny oraz akademicki wymiar oraz medialny zważywszy, że młodzież korzysta w dużym stopniu z telewizji, a zwłaszcza z internetu.

Globalizacja nie jest tym samym, co unifikacja. Należy nasycić światopoglądy aprobatą dla tego, co różnorodne. Wiąże się z tym wyrabianie odwagi wyrażania własnych poglądów. Koniunkturalizm i konformizm są niegodne człowieka i ten pogląd powinien funkcjonować w edukacji permanentnej.

Tolerancja dla światopoglądów mniejszościowych nakłada obowiązek kształtowania świadomości w duchu umiarkowanego agnostycyzmu. Zdawanie sobie sprawy z ograniczonych możliwości poznawczych człowieka może stanowić zapórę niedozwalającą na kształtowanie poglądów nasyconych fanatyzmem. Agnostycyzm wyrabia życzliwość wobec poglądów odmiennych od tych, które dany człowiek uważa za słuszne i niepodważalne. Wyrabia ciekawość, zamiast wrogości, wobec od-

miennych zapatrywań. Jak wyjaśniał Tadeusz Kotarbiński, jesteśmy tolerancyjni jeżeli pozwalamy czynić komuś coś, co przeszkadza któremuś z naszych celów.

Biorąc pod uwagę charakter naszej epoki, powinno się wskazywać wartość rozwoju duchowego. Jest to pojęcie szersze od rozwoju intelektualnego, bierze bowiem pod uwagę także poziom rozwoju uczuć, wyobraźni oraz wrażliwości. Uczucia leżą u podstaw nawet tzw. czysto racjonalnych procesów myślowych. Reagujemy uczuciowo na wszelkie przejawy życia. Wysoka uczuciowość pozwala osiągnąć najwyższy poziom tolerancji, czyli empatię. Nie pozwala na stosowanie przemocy w stosunku do drugiego człowieka.

Kształtując pogląd na świat zdajemy sobie sprawę z faktycznych zagrożeń globalnych, a w tym militarnych i paramilitarnych. Do zagrożeń paramilitarnych należy edukacja, ponieważ nie zaszczepia prawidłowych wartości. Edukacja kształtuje światopogląd jednostek, a w tym tych, które mają wpływ na ustawodawstwo i politykę, czyli w konsekwencji na gospodarkę. Mam na myśli edukację permanentną, całonocną. Podlegamy jej wszyscy, zważywszy siłę oddziaływania mediów oraz ich powszechny zasięg.

Źle pojmowana, sławiona wolność stała się samowolą, uprawnieniem dla działań ukierunkowanych na wyścig militarny i wojny wstydliwie nazywane misjami pokojowymi lub krzewiącymi demokrację.

Niepokój budzi fakt, że przestało się kjarzyć globalizację ze szczytną wartością pokoju oraz ujmowaniem każdego człowieka jako części składowej całej ludzkości. Globalizacja przejawia się w XXI wieku w zespoleniu świata przez koncerty, banki i zamerykanizowaną kulturę mediów. Zważywszy siłę oddziaływania koncernów zbrojeniowych i farmaceutycznych zainteresowanych prowadzeniem wojen z racji przynoszenia tą drogą spotęgowanych zysków – nie widać perspektywy nadejścia czasów trwałego pokoju.

Bez edukacji przesycionej szacunkiem dla wyższych wartości czyli ideałów – zamiast obecnie szerzonej wartości zysku – nie unikniemy nader poważnych zagrożeń globalnych. Refleksje wzbudza fakt, że u zarania dziejów, mędrcy starożytności wskazali na rozum jako na właściwość wyróżniającą człowieka spośród innych istot żywych. Oczywiście, ten pogląd ma również zwolenników współcześnie. W drugiej połowie XIX wieku wskazano na zdolność do tworzenia kultury jako właściwość swoiście człowieczą. Wcześniej wraz z chrześcijaństwem, uznano, że tym, co stanowi o wyjątkowości człowieka jest dusza nieśmiertelna. Degradacja człowieka posunęła się, zamiast spodziewanego doskonalenia ludzkości, skoro określa się nas w XXI wieku mianem jedynych istot śmiejących, niszczących własne środowisko, o czym była już mowa.

W światopoglądach niewielkiej części ludzkości funkcjonuje pokój jako wartość pożądana. Niestety, rzeczywistość od tych oczekiwań odbiega. Postępujemy dziś po-

dobnie jak w czasach średniowiecza, gdy obwarowywano wojny szeregiem warunków. Miały one na celu, na przykład, niedopuszczanie do walki rycerzy w złej sprawie i określały jak mają walczyć. Pokój Boży ustalano na czas świąt oraz zakazywano walk w kościołach i na cmentarzach. Za jego naruszenie groziły kary kościelne. Ochronie w czasie wojen podlegali duchowni, rolnicy, kupcy, kobiety i dzieci. Te przykłady ograniczonych koncepcji pokoju nie przyczyniły się do szerzenia zakazu wojen w ogóle. W XXI wieku mówi się o prawach człowieka, o godności, o wartości wszystkich kultur, co nie przeszkadza w potęgowaniu wydatków na zbrojenia kosztem milionów głodnych ludzi. Dzieje się to także w krajach deklarujących przynależność do chrześcijańskich wartości. O Dekalogu, o jego V przykazaniu, pamiętają wyznawcy małych liczebnie wyznań chrześcijańskich. Ale nie mają wpływu na politykę światową, ani na politykę własnych państw.

Pogląd o społecznej naturze człowieka w światopoglądach wyznawców dużych liczebnie kościołów chrześcijańskich łączy się ze zgodą na prowadzenie wojen sprawiedliwych, co jest wewnętrznie sprzeczne. Natomiast niejeden zwolennik wiecznego pokoju głosi pogląd o aspołecznym charakterze ludzkiej natury. Myśl o trwałym pokoju towarzyszy ludzkości nieśmiało, mimo że stoicy w starożytności sformułowali ideę powszechnego braterstwa z której logicznie wyprowadzili nakaz dążenia do stanu pokoju. Lekceważenie idei pacyfizmu stało się szczególnie groźne dla przetrwania ludzkości ze względu na zgromadzone wojenne środki masowego rażenia. Sprawa jest tym poważniejsza, iż najtańszym sposobem niszczenia przestarzałego uzbrojenia jest krótkotrwała wojna.

Dokąd zmierzamy? Zagrożenia militarne i paramilitarne powinny doprowadzić do nowej edukacji przedszkolnej, szkolnej, całonocnej. Problem zawiera się w tym, że chętniej akceptowane są wartości antagonizujące ludzkość niż scalające ją. Trudno jest pobudzić umysły i działania w kierunku wartości pozytywnych. Wizja wroga dzieli, ale zarazem łatwo cementuje przeciwko komuś. Wartość braterstwa trudniej jest zaszczerpić w skali powszechnej, zwłaszcza że przekazywane są uprzedzenia wyniesione z historii dziejów. Nieuchronność wojen nie jest prawdą, bowiem nigdy dotąd pacyfiści nie byli grupą dominującą w jakimkolwiek państwie.

Należy też dodać, że już dziś trzeba pilnie wprowadzić zakaz powszechnego posiadania broni. Surowe przepisy karne reglamentują rozmaite przejawy istnienia człowieka. U nas kary spotykają tych, którzy z braku pieniędzy piją alkohol pod gołym niebem, czy palą papierosy, na przykład, w parkach. A jednocześnie słyszy się o pomysłach umożliwiających kupowanie broni mimo obserwowanego wzrostu agresywności.

Maria Sajszkowska

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Lilaróż

Jest czwartek, godz. 16:10, trzynasty dzień kwietnia. Ach, jest już sobota godz. 15:35, dwudziesty drugi dzień kwietnia roku 2017.

– Sardynki słów, rekiny słów, wieloryby słów i plankton słów. A nie ma byków, ani krów, ani słowików, ani sów. Mój Czytelniku, szkoda słów! – powiedział filozof Pan Nietwór, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Od słowa do słowa płynie ludzka mowa, a ten kto płynie na swej łódce milczenia, mówiąc dosłownie pragnie wystowienia, mówiąc dosłownie, swojego milczenia. Niechaj na świecie każdy człowiek słyszy, jak dzwoni dzwon jego strasznej ciszy – te słowa o słowach wyłożył na stół asystent Daniel Spaniel, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Pośrodku złotych myśli koron, ja widzę srebrny oksymoron. Ten dzwon ciszy, który dzwoni ludzkim głosem kakofonii – odniosła się do słów Daniela Spaniela swym bursztynowym głosem błękitnooka i złotowłosa Wiosna, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Od słowa do słowa droga kolorowa. A po tej drodze w tęczowej todze córka Zelowa, czyli „Gazeta Kulturalna”, tanecznym krokiem bardzo poczytalna. Idzie do ciebie Czytelniku, żebyś przeczytał nie tylko tytuł i się zamyślił na tę chwilę, komu potrzebne są motyle?

Drogi Czytelniku! Droga Czytelniczko! A lilaróż też jest kantyczką w różowym kieliszku maja, który miłością upaja – powiedziawszy te słowa szmaragdowym altem, wybuchnęła również szmaragdowym saltem swojego śmiechu, piwnooka, jak heban czarnowłosa Luna, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

PS.

Lilaróż

*Powiada do mnie moja żona
na którą u nas mówią Krzysia
bo z lwowianinem ożeniona
staje się Krzysią każda Krzysia*

*Powiada – będzie bardzo dobrze
jeśli przedstawiś w swej twórczości
jakąś ciekawą filozofię
o czyjeś twórczej ułomności*

*Zadajesz niemożliwą pracę
jak mogę Bogu wytknąć błędy
nie jestem reformacki kacierz
ani też niezależny święty*

*Powiada – będzie całkiem niezłe
jeśli przedstawiś w swej twórczości
liliową damę jak na krześle
siedzi i marzy o miłości*

*Przedstawię damę lecz różową
z narcyzem w dłoni przy fontannie
my zachwycimy się kremowo
aby różowo było pannie*

*Powiada do mnie moja żona
nawet nie jestem oburzona
rozumiem problem miłościowy
bo wszyscy śnimy sen różowy*

„Fragmentaria” Pawlickiego

Niecodzienne spotkanie miało miejsce w Różanym Dworze w saloniku literackim Moniki Maciejczyk w Polanicy Zdroju przy Kamiennej 7. Promował najnowszą książkę „Fragmentaria” składającą się z trzynastu esejów i szkiców wcześniej opublikowanych na łamach czasopism literackich i społeczno-kulturalnych Darek Pawlicki z Wrocławia. Urodzony w 1961 roku autor esejów i szkiców (trzy książki: „Chwile, miejsca, nastroje”, „Zauważania” i „Fragmentaria”), wierszy (kilka zbiorów, m.in.: „Haiku”, „48 wierszy”), książki dla dzieci) „Bibikon w drodze do Kamienia Życia”). Autor 100 haseł w „Encyklopedii Wrocławia”. Prowadzi warsztaty poetyckie, odczyty dotyczące literatury i sztuki.



Dariusz Pawlicki

Salonik wzorowany na szlachecki mieścił prawdziwego księcia Mirskiego i jego żonę Zofię – księżną Mirską i okolic – jak lubi żartobliwie podchodzić do rodu męża

poetka z Kłodzka.

Gospodyni znakomicie wprowadziła w atmosferę wieczoru przedstawiając autora. Jego osiągnięcia i wyboistą drogę twórczą. Obecnych na spotkaniu powitała z imienia i nazwiska, wymieniając dokonania i pracę w środowisku, co w dzisiejszych czasach rzadko jest zauważane. Niekiedy traktowane jako hobby. Nie zaś krzewienie kultury wysokiej.

Pawlicki w obszernym wystąpieniu – przeplatany ariami operowymi – namawia czytelnika do spowolnienia tępa swojego życia, uważnego przypatrywania się temu, co nas otacza, do kontemplacji. Zwraca uwagę na ślady minione, a nadal wpływające na współczesnego człowieka, gdyż jest związane z istotnymi przejawami kultury, jest po prostu ponadczasowe. Przytacza fragmenty rozdziałów, wprowadzając słuchaczy w fale suwalskich pól, dostojność drzew. Filozofię tamtego życia i trwania. Sens korzystania z wiedzy pokoleń i ich błędów. Dyskusji na jednej płaszczyźnie, czego Polakom bardzo brakuje.

Spotkania takie w małym saloniku, gdzie publiczność przychodzi wyselekcjonowana, chłonna wiedzy i pragnąca uczestniczyć w spotkaniu, zamienia się w literackie misterium. Dyskusja dopełnia treść wystąpienia autora i utwierdza w przekonaniu, że warto pisać.

Jerzy Stasiewicz



Od lewej: Dariusz Pawlicki,
Monika Maciejczyk i Jerzy Stasiewicz

Jerzy Stasiewicz

Mistrz przy modelu

Mistrz Marian Molenda
z dżutem w dłoni
nie pierwszy raz
mierzy się z polską historią

Jan Paweł II
obejmujący kardynała Wyszyńskiego
uczy pokory robotników winnicy
w kraju rozdrapującym przeszłość

Marszałek na koniu
wskazuje drogę ku wolności
wygnańcom
którzy na zawsze
w Tarnopolu pozostawili serce

POEZJA

Stefan Jurkowski, *Spacer do siebie*. Posłowie: Anna Maria Musz. Redaktor: Stanisław Nyczaj. Korekta i opracowanie typograficzne: Irena Nyczaj. Zdjęcia autora: Barbara Marszałek i Andrzej Walter. Okładka: Sharpshot / Fotolia. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2017, s. 64.

Nina Pawlaczyk, *Poza tym normalnie*. Wstęp: Anna Pawlak-Łacina. Opracowanie redakcyjne i korekta: Nina Pawlaczyk, Anna Pawlak-Łacina. Wybór wierszy: Ewa Głogowska, Anna Pawlak-Łacina, Bożena Rabikowska, Nina i Kazimierz Pawlaczykowie. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Piotr Pabisak według zbiorów Kazimierza Pawlaczyka. Wydawca: Wieluński Dom Kultury, Wieluń 2017, s. 104.

Cezary Sikorski, *Południk*. Projekt okładki Konrad Kowalczyk. Grafika na I stronie okładki Marek Burrier. Załącznik Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2016, s. 42.

Andrzej Szuba, *Milczysz. Strzępy z lat 1980-2014*. Opracowanie graficzne Marek J. Piwko. Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae, Skarb Śląski, Katowice 2016, s. 154.

Florian Śmieja, *Dotykanie świata. Wiersze wybrane*. Wstęp Zbigniew Anders. Wybór, układ wierszy i redakcja tomu Edward Zyman. Projekt okładki Marlena Makiel Hędrzak. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” Toronto-Rzeszów 2016, s. 448.

Piotr Tenczyk, *Odyseja*. Projekt okładki Konrad Kowalczyk. Na okładce oraz wewnątrz książki wykorzystano ilustracje Georgea Roux. Załącznik Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2016, s. 56.

PROZA

Józef Hen, *Bruliony Profesora T.* Projekt graficzny okładki Monika Drobnik-Słocińska. Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2016, s. 358.

Karl Ove Knausgard, *Zima*. Przełożyła Milena Skoczko. Obrazy Lars Lerin. Opracowanie okładki na podstawie oryginału Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 276.

Eka Kurniawan, *Piękno to bolesna rana*. Przełożył Jędrzej Polak. Projekt okładki MaithiliDoshiAphale. Opracowanie okładki na podstawie oryginału Robert Kleemann. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 520.

Marco Malvaldi, *Wyższa karta*. Przełożył Krzysztof Żaboklicki. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz. Fotografia na okładce Henry Horenstein/Corbis/ Getty Images. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 226.

Jakub Malecki, *Ślady*. Opracowanie Typograficzne Joanna Pelc. Okładka Paweł Szczepanik. Rysunek na okładce Agnieszka Diesing. Wydawnictwo SQN, Kraków 2016, s. 304.

Jerzy Pilch, *Indyk beltsville. Opowiadania zebra-ne*. Projekt okładki i stron tytułowych Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 780.

Mirosław Pisarkiewicz, *Zapiski z każdej strony okna*. Projekt okładki: Ewa Golińska-Pisarkiewicz. Na okładce wykorzystano fragment obrazu „Wstążeczka” autorstwa malarki Ewy Golińskiej-Pisarkiewicz. Wydawnictwo Ridero, [bez miejsca wydania] 2017, s. 124.

Philip Roth, *Everyman*. Przełożyła Jolanta Kozak. Projekt okładki Robert Kleemann. Zdjęcie autora na okładce Nancy Crampton. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 168.

Grzegorz Strumyk, *Kra*. Zdjęcie autora Lena Strumyk. Zdjęcie na okładce Grzegorz Strumyk. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin, Bezręcze 2016, s. 142.

Matthew Thomas, *Przypomnij mi, kim jestem*. Przełożyła Anna Zeller. Projekt okładki Christopher Lin. Opracowanie graficzne okładki Anna Małyszcz-Sitko. Zdjęcie autora Beowulf Sheehan. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 582.

Maria Towiańska-Michalska, *Z Ameryką w tle*. Zdjęcie autorki Andrzej Łazowski. Zdjęcie na okładce Bogdana Koziańska. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *15 piętnastka*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezręcze 2016, s. 204.

Piotr Wojciechowski, *Strych Świata*. Opracowanie graficzne okładki Janusz Staszczak. Zdjęcie na okładce Diana Debord/ Arcangel. Zdjęcie autora Włodzimierz Wasyluk. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 240.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Martin Bauer, *Templariusze. Mity i rzeczywistość*. Przełożyła z niemieckiego Małgorzata Słabicka. Redakcja: Zofia Smyk. Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz. Ilustracja na okładce: ToledoSword.com oraz Mik Man/fotolia.com. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław, s. 256.

Javier Cercas, *Oszust*. Przełożyła Ewa Zaleska. Projekt okładki Tomasz Lec. Oficyna literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 416.

Bernadetta Darska, *(Nie) etyczność postaw i zachowań jako temat współczesnego reportażu polskiego*. Projekt okładki Bogdan Grochal. Wydawnictwo Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UWM, Olsztyn 2016, s. 232.

David Evanier, *Woody Mień. Biografia*. Przełożył Jacek Żuławnik. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 328.

Oriana Fallaci, *Podróż po Ameryce*. Przełożyła Joanna Ugniewska. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 320.

Jacek Gutorow, *Życie w rozproszonym świetle. Eseje*. Projekt okładki i stron tytułowych Przemek Dębowski. Zdjęcie autora Grażyna Niezgodna. Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2016, s. 320.

Dorota Karaś, *Cybulski. Podwójne salto*. Projekt okładki Michał Pawłowski. Na okładce zdjęcia z *Popiołu i diamentu* Andrzeja Wajdy [1958], fot. Wiesław Zdort. Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 416, w tym ilustracje.

Anna Kaszuba-Dębska, *Kobiety i Schulz*. Projekt graficzny, ilustracje Anna Kaszuba-Dębska. Projekt typograficzny Stanisław Salij. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2016, s. 356, ilustracje.

Marcin Kołodziejczyk, Marcin Podolec, *Morze po kolana*. Projekt okładki Marcin Podolec. Zdjęcie autorów Wiktoria Nowak. Wielka Litera, Warszawa, s. 160.

Jacek Kopciński, *Powrót Dziadów*. Projekt graficzny, typograficzny Kamila Schinwelska, Marcin Gwiżdowski. Seria *Teatr. Krytycy*. Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Instytut Książki, miesięcznik „Teatr”, Warszawa, Kraków 2016, s. 300.

Antoni Kroh, *Za tamtą górą. Wspomnienia łemkowskie*. Opracowanie graficzne Janusz Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2016, s. 304.

Sławomir Mojsiuszko, *Nie ma powietrza (między nami)*. Zdjęcie autora Marcin Onufryjuk. Fundacja Biała Wieża, Białystok 2016, s. 186.

Nietypowa baba jestem, czyli Anna Seniuk w rozmowie z córką Magdaleną Malecką-Wippich. Projekt okładki Magdalena Pankiewicz. Fotografia na I stronie okładki Jacek Poremba. ZnakLiteranova, Kraków 2016, s. 416.

Maria Szyszowska, *Istnieć w XXI wieku*. Zdjęcie na okładce i rysunki: Jan Stępień. Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2017, s. 176.

Krzysztof Varga, *Langosz w jurcie*. Projekt okładki Agnieszka Pasińska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016, s. 278.

Adam Wisłocki, Stanisław Pisarek, *Przez rzeki i jeziora Braślowszczyzny*. Projekt okładki i strony tytułowej Wojciech Grzegorzyc. Wydawnictwo Stapis, Katowice 2016, s. 174, w tym zdjęcia.

INNE

Sławomir Andrzej Keller, *Dobranocki o kocich przygodach*. Opracowanie graficzne, projekt okładki z ilustracjami: Krzysztof Frencl. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2014, s. nlb.

Sławomir Andrzej Keller, *O kosmoludku w wiejskim ogródku*. Opracowanie graficzne, projekt okładki z ilustracjami: Paulina Wróblewska. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2016, s. nlb.

W „Tygodniku Powszechnym”, numer 17/2017, wywiad Kajetana Prochyry z Filipem Łobodzińskim:

- Wydał Pan właśnie zbiór przekładów tekstów Boba Dylana *Duszny kraj. Co sprawiło, że nie minął się Pan z muzyką Boba Dylana?*

- To było odkrycie. Pierwszy raz usłyszałem go świadomie na początku lat 70. Później kolega z liceum pokazał mi wielką książkę *Writings and Drawing* – zbiór tekstów i rysunków Dylana do roku bodaj 1971. Ja tę książkę całą przepisałem długopisem do zeszytiku. Tych zeszytików było zresztą sporo. Nagle zobaczyłem, że to jest śpiewanie o czymś. Chyba po raz pierwszy od momentu zetknięcia się z Kabaretem Starszych Panów, tyle że tym razem to nie były żarty. U Dylana działa się jakiś niebywały kosmos. Później przyszła świadomość, że to stworzyła jedna osoba, jeden człowiek – taki wielki kosmos. I że zaczął bardzo wcześnie. Gdyby u nas ktoś jako 21-latek pisał takie teksty jak *A Hard Rains Gonna Fall*, w ogóle by go nie rozumiano, potraktowano jak dziwaka. Tam został zrozumiany, a przynajmniej branża to podchwyciła. Nie bała się tego. Dylan jednoosobowo załatwił, że branża zrozumiała: na piosence z tekstem da się zarobić, można sprzedawać ludziom płyty ze słowami, które coś znaczą, muzyka może nieść istotny przekaz. Kto wie, czy komercyjny fenomen rapu też nie jest do pewnego stopnia jego zasługą.

Dopiero potem, w latach 90., kiedy byłem już mocno zaawansowany w przekładaniu piosenek Dylana, zacząłem, serio czytać także o nim. Zobaczyłem, ile w jego słowach jest hiperłączy do różnych zjawisk kulturowych, historycznych. Ileż tam jest Biblii, poezji amerykańskiej, europejskiej, starożytnej – ale i tej anonimowej, z zakurzonego amerykańskiego szlaku. Jego twórczość to właściwie taka Ameryka – trochę dziwna, niedookreślona mieszanina, ein-topf, do którego się dużo rzeczy nawrzucało i można sobie wyciągnąć albo śliwkę, albo marchewkę, ale można też jeść pełną łyżką. (...)

(...) „Krzyś był charyzmatyczny i niezależny – mówi Stuhr. – Nie dał się w nic uwikłać, nie przekraczał granicy, którą sobie sam wyznaczył. W *Amatorze* dopisał scenę, w której bronił dyrektora zakładu. Mówię: »Krzyś, Agnieszka nas powiesi«. A on, jak zawsze w takich sytuacjach odpowiada: »Wujek tak musi«. Po *Bez końca*

wszyscy na niego naskoczyli, bo znów rozdawał racje równo. To była chyba największa lekcja, jaką od niego dostałem. Zrozumiałem, że trzeba mieć własną busolę, nie dać się połknąć żadnej stronie – pisze Barbara Hollender w „PlusMinus”, numer 89/2017.

W ostatnim dwudziestolecu XX wieku Stuhr wystąpił w ponad 80. filmach i spektaklach telewizyjnych. Stworzył kreacje u Kieślowskiego i Szulkina, objawił komediowy talent w filmach Juliusza Machulskiego. *Seksmisja* czy *Kiler* przyniosły mu ogromną popularność. Dlaczego więc aktor o tak fantastycznej karierze zaczyna reżyserować?

- Grasz w filmach, niby bierzesz za nie odpowiedzialność – odpowiada. – Ale tylko trybikiem w maszynie. Kończą się zdjęcia i w montażu, robią z Tobą, co chcą. A nagle zorientowałem się, że jest kilka rzeczy, o których chciałem sam opowiedzieć. Czytam książkę Jurka Pilcha *Spis cudzołożnic*. Myślę: »Boże, to o mnie. Polonista, Kraków, koleżanki-cudzołożnice ze studiów, ile ich tam było... Dwieście, a nas szesnastu to moje życie«. Ta książka trafiła do mnie, bo poczułem pierwszy przyływ przemijania. Swojego, epoki. Wiedziałem, że nic się nie powtórzy, że w kraju zmienia się wszystko”. (...)

W „Polityce”, numer 17-18/2017, wywiad Artura Zaborskiego z Melem Gibsonem:

(...) – **W „Przełęcz ocalonych” opowiada pan historię Desmonda Dossa, który w wojsku odmówił noszenia broni, co tłumaczył względami religijnymi. Przy tego typu temacie łatwo się narazić na oskarżenia o ideologizowanie.**

- Żyjemy w czasach, w których wszystko staje się polityczne: to co nosisz, to co jesz, to jakiej muzyki słuchasz. Mnie ten aspekt nie interesuje, ja tworzę kino i doskonale wiem, jakie elementy muszą znaleźć się w filmie, by mówić o dobrym kinie, które chcę robić.

- Jakże?

- Każda świetna historia musi zawierać trzy elementy. Po pierwsze, powinna być dla widza, nawet jeśli jest mroczna, dobrą rozrywką. Po drugie, powinna mieć walory edukacyjne. Po trzecie, powinna podnosić na duchu. Scenariusz „Przełęcz...” posiadał wszystkie te elementy. To znakomita rozrywka, która uczy, a dodatkowo przywraca nadzieję, bo pokazuje, co jest wstanie osiągnąć jednostka w najbardziej ekstremalnych sytuacjach.

- Realizacja tego filmu nie wymagała

od pana inwestowania własnych pieniędzy...

- Tak, zrobiłem wyjątek po lekturze wciągającego scenariusza. Sam pomysł powstania filmu wyszedł jednak od Billa Mechanica.

- Czy w związku z tym, że nie miał pan wkładu finansowego, musiał liczyć się z ograniczeniami narzucanymi przez innych?

- Od początku zastrzegłem, że chcę opowiedzieć tę historię tak, jak sam ją widzę. Nie wyobrażałem sobie, że mogłoby być inaczej, że mogę realizować film na czyjeś zlecenie.

- Czyli nie przyjmie pan propozycji od polskich polityków, którzy chcieliby widzieć pana w nadwiślańskim kinie narodowym?

- Nie dostałem takiej propozycji, więc trudno mi gdybać. Musiałbym przeczytać scenariusz, jeśli będzie dobry – proszę bardzo. Jeśli to ma być kino, przez które będzie budować się tożsamość narodu kraju, chętnie się włączę. Sam przecież od lat spełniam tę funkcję w swoim kinie. Nie pozwoliłbym jednak, by film z moim udziałem miał zaspokajać interes którejś partii politycznej. Kino propagandy mnie nie obchodzi, nie zamierzam przykładać do niego ręki. Film historyczny ma w moim przekonaniu konsolidować naród i umacniać go. Ważne jest, żeby widz w trakcie projekcji zadał sobie pytanie, co ja bym zrobił na miejscu bohatera, a nie żeby dostał instrukcje, jak ma postępować. (...)



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Andrzej Bartyński, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivoisse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.